

ŻYWOT I PAMIĘTNIKI

St. Hr. MAŁACHOWSKIEGO.

wydane przez

L. S. (iemieński)



KRAKÓW

NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA KSIĘGARZA.

Czcionkami Drukarni „Czasu“ przy ulicy Szczepańskiej Nr. 369.

—
1853.

~~MAŁACHOWSKI~~
<https://rcin.org.pl>

RYBOK

I PAMIETNIKI

ST. BR. MALACHOWSKICH

wydane przez

2 8 (inverted)



WARSZAWA

WARSZAWSKA WILCZA KUCHNIA

ul. Krakowska 10, Warszawa

I-3633

1881

Ż Y W O T

I PAMIĘTNIKI

Stanisława hrabi Małachowskiego.

WSTĘP.

Dziejopisarstwo przyjmując nowszemi czasy kierunek wyższy, usiłowało otworzyć sobie obszerniejsze pole postrzeżeń i badań; nie samo już zatém życie panującego, i wielkie polityczne sprawy zajmują je, ale wszystko nieledwo, co tylko tworzy masę wewnętrznego życia narodu, co się przyczynia do wyświecenia tak charakteru osób grających główniejszą rolę, jak charakteru, wyobrażeń, dążności, namiętności całej epoki. Jeżeli dawniejszym historykom wystarczały suche daty, i oficjalne niejako opisy ważniejszych wydarzeń, jeżeli dokument wypowiedzenia wojny, lub zawarcia traktatu, jeżeli mowa lub uchwała sejmowa, składały niejako cały zasób materiału — tedy dzisiejszy badacz dziejów przyjmuje te wielkie zdarzenia i wypadki jako rezultaty, a przyczyn dopiero szuka to w składzie i obyczajach społeczeństwa, to w pojęciach religijnych, to w literaturze, to w mnó-

stwie szczegółów prywatnych przechowanych, bądź w podaniu, bądź w pomnikach, broszurach, bądź w archiwach, a najlepiej w dyaryuszach familijnych, listach, i rzadkich zapiskach. Strona ta niby podrzędna — jest właśnie stroną życia, a więc ciałem, krwią, rumieńcem historycznych postaci. Pominiesz ją, z mówiących figur zostanie ci martwy szkielet; z dramatu życia, zimny bezbarwny opis; z światła i cieni i rysów, mglista gadanina okraszona najczęściej szumem frazesów i morałami. Kto chce zatem odtwarzać przeszłość, musi ją nietylko składać z samych odłamków przechowanych to w pomnikach, to tradycjach, to pismach, ale jeszcze posiadać tyle ducha twórczego, żeby temu nadać pewną całość, ruch, i niejako zbudzić namiętności owego wieku, którego się obrał wskrześć. Że dziś niemamy u nas historycznego pisarza, rozwiązującego godnie to zadanie, pochodzi zapewne równie z braku odpowiedniego talentu, przyjaznych okoliczności do podniesienia niczém niekrępowanego głosu, jak z niedostatku przysposobionych i obrobionych materiałów. I tak niedawno przecież cały okres Konfederacyi słabe tylko zajmował w dziejach naszych miejsce, dopóki wysoki talent pochwytawszy nici tradycyi niewysnuł, acz tylko w powieściarskiej szacie, całego obrazu. Wprawdzie Rhuliere i Kitowicz, podawali niezmiernie ciekawe szczegóły, mianowicie ostatni zdarł z téj niedawnej przeszłości zasłonę, ale ducha epoki umiał tylko odgadnąć autor pamiętników Soplicy. Tak samo czasy Jana Kazimierza odżyły z wydaniem pamiętników Paska; wyprawa wiedeńska z listami Sobieskiego do Marysienki, i tak wiele innych momentów historycznych, które zaczynają wyzierać z mroków stuleci za każdym nowém od-

kryciem. Z tego powodu wielką spełniamy przysługę krajowej literaturze, wydobywając z zapomnienia różne zabytki piśmienne, czy to pamiętniki, czy dyplomaty, czy listy, czy dyaryusze. Zawsze to będzie cegiełka przyniesiona do téj budowy napowietrznego mostu łączącego dwa strome brzegi bezdennéj przepaści — przeszłość z terażniejszością; zawsze, czy to wierne opowiedzenie jakiego wypadku, czy obraz domowego życia, czy wizerunek charakteru i czynów osoby, przyczynią się do zbudowania całości, do wykrycia wielostronnéj prawdy, a tém samém do odgadnienia wewnętrznych usposobień, wyobrażeń téj lub innéj epoki. Jak we wszystkiém tak i w tém nadużycie staje się szkodliwém; i tak zaciekanie się w drobiazgowę szczegółki, w prozę nic nieznaczącą życia, z pominięciem szerszych i ogólniejszych rysów, a przytém duch krytyki rozkładowy a nietwórczy, poronił za świeża kilka płodów, które w pretensyi odtworzenia zdarzeń minionych lub wskrzeszenia osób głośniejszych w dziejach, ukazały się jako rozmazane, oschłe, bezduszne, a tém samém nudne gadaniny; co dowodzi, że można posiadać i mieć w pamięci największe bogactwo surowego materiału, ale dla tego historycznym pisarzem być jeszcze niemożna. W téj saméj myśli dałoby się coś zarzucić i téj skwapliwości, jaka u nas dziś panuje, w publikowaniu lada starego szpargału, czy to będzie rachunek aptekarski, czy jaki z tysięcznych a ciągle powtarzających się manifestów i uniwersałów konfederackich, czy wreszcie list prywatny głoszący niedorzeczną jaką plotkę z obozu lub monarszego gabinetu. — Tacy zbieracze i tacy autorowie zazwyczaj warci siebie, mało też na nich zyska literatura historyczna.

Jeżeli już zbierać i ogłaszać mamy zabytek jaki, niechże przynajmniej niebędzie pozbawiony interesu, niech dostarczy choćby jeden szczegół nieznany, jedno słówko trafnie malujące swój czas i ludzi, choćby z epoki nie zbyt oddalonej, nieledwo wczorajszej. Tego rodzaju pism, mianowicie pamiętników obchodzących świeższe dzieje, niewątpliwie ukrywa się znaczna liczba w prywatnych rękach, czekając sposobnej chwili do ujrzenia świata. Im osoba pisząca je wyżej stała, im większy brała w wypadkach krajowych udział, tém też i pamiętnik, lub autobiografia, większe są w stanie wzbudzić zajęcie odkryciem nieznanych tajemnic i sprężyn, lub ocenieniem zdarzeń i osób z nowej nieznanej nikomu strony. Równiej jest wagi, a pod względem moralnym większej jeszcze korzyści, po prostu opowiedziany piękny żywot człowieka, związany z dziejami kraju, przeprowadzony przez wszystkie koleje dziecięctwa, wychowania publicznego, służb publicznych, prac naukowych, ofiar obywatelskich, pociech i cierpień domowych... W małym tym światku odzwierciedla się zewnętrzny świat z wielkim dramatem życia, tém wyraźniej, tém prawdziwiej, jeżeli ten sam człowiek skreślił własną ręką jak żył, co widział, czego doświadczał, i jakich doznawał wrażeń w przemiennych kolejach losu. Taki właśnie żywot zamierzam złożyć z pozostałych pamiętników i przypomnień Stanisława hrabi Małachowskiego, męża cnót znakomitych, który przed parą laty zgasłszy w Końskich, zabytki swego pióra rodzinie dla przykładu i miłej pamiątki, a nam dla nauki i pociechy przekazał. Aczkolwiek kreślił je w osmdziesiątym wieku życia, i zapewne nieraz był zawiedziony przez pamięć sięgającą aż do kolebki, kiedy starzec stał już

nad grobem, jednakże czerstwym jeszcze umysłem umiał ocalić niejednen szczegół, niejednen rys charakterystyczny przechować.

I.

Młodość St. Małachowskiego.

Stanisław Małachowski urodził się dnia 26go lutego 1770 roku na Szląsku w Lignicy. Rodzice jego dla zaburzeń konfederackich w kraju, i dla spokojności matki będącej z nim w ciąży, tam szukali przytułku. Dziecię przyszło na świat, ale tak wątłe i drobne, że doktorowie nietusząc mu życia, kazali jednak kąpać we krwi świeżo zabitego wieprza. I tak wychowało się dziecko, doczekawszy starości, jakiej rzadko komu niebo użyzcza.

W tym stanie tułaczym rodzice Stanisława spędzili dwa roki, mieszkając w szczupłym domku za miastem i mimo znacznego majątku utrzymując się oszczędnie, z powodu przerwanych stosunków z krajem.

„Gdy już wojska królewskie — przytaczamy tu słowa jego własne — przymusiły konfederacyą do ustąpienia z kraju, rodzice moi wrócili, pojechawszy do Końskich, gdzie mieszkała ich matka, a moja babka kanclerzyna wielka koronna z Humieckich Małachowska, mnie zaś zostawili w Włoszczowie, gdzie lato zawsze przepędzali, z piastunką Agnieszką i 50-letnią panną nazwiskiem Boratyńską; gdyż dawniej takiej osobie rząd domu i dozór nad wszystkiem powierzano, nazywano pospolicie kluźnicą, dziś ochmistrząnią urząd taki przekształcono.

Pewnego dnia zajechało kilku konfederatów na dziedziniec i stanawszy przed oficyną mieszkalną, jeden z nich wszedł do pokoju w którym ja z piastunką byłem, i przybliżywszy się do mnie, pocałuj mnie, rzecze — ja ręce moje wyciągnąłem ku niemu, a on porwawszy mię uściśkał, mówiąc: kiedy się moich wąsów nie zląkł, to będzie dobry żołnierz, będzie się bił tak jak ja, i odchodząc dobył dukata, i dał piastunce mojej Agnieszce.

Ojciec mój odebrał wychowanie szkolne we Francyi w Lunewillu i miał najwięcej pomiędzy braćmi swemi nauki. Jako starosta Opoczyński, był na elekcji Stanisława Augusta; przez wziętość swoją w obywatelstwie, przeważył partye trzech konkurentów dobijających się o koronę polską — mówiąc: żaden naród obcych do panowania nieprzywołuje, z pomiędzy szlachty rodak tylko powinien być obrany. Później zostawszy wojewodą Sieradzkim, zasiadał w senacie i na wszystkich obradach był obecny. Lecz patrząc na intrygi zagraniczne i widząc przez przekupienie *liberum veto* sejmy zrywane, porzucił zawód, i osiadł z żoną na wsi w Włoszczowie.

Pomieszkanie moich rodziców było wygodne; była to oficyna murowana, ośm pokoi zawierająca, obicia były papierowe, w jednym gabinecie na ścianie poprzyklejane ryciny starego testamentu; tym ja się lubiłem najwięcej przypatrywać, a znaczenie każdego, moja matka mi tłumaczyła. Meble podówczas były skromne, drzewa mahoniowego nie znano. Stołki były płóciem pokryte, a jedno krzesło na którym mój ojciec siadał, tępą karmazynową było obite. Na rogu oficyny była kaplica, dwa klęczniki po obu stronach dla moich rodziców stały postawione. Codziennie o godzinie 9ej miewał mszą kapelan,

bernardyn z Przyrowa klasztoru S. Anny, ojciec Guido, drzwi do sali były otwarte i wszyscy domownicy schodzili się za usłyszeniem dzwonka. W niedzielę i we wszystkie święta kiedy była pogoda, chodziliśmy piechotą do kościoła o dwie wiorsty oddalonego. Droga prowadząca była to obszerna łąka, nie murawą ale różnobarwnymi kwiatami pokryta, wiosenny zapach wydająca. Kilka stóletnich w kupie dębów formowało kłęb na boku. Gdzie nigdzie dzikie owocowe drzewa były siedliskiem ptaków, których śpiew rozlegał się po całej przestrzeni. Spacer ten był dla mnie najprzyjemniejszy, biegałem łapiąc motyle. Mam w pamięci każde drzewko, a rzeczkę na której była ławka do przechodu, zwykle przeskakiwałem.

Ksiądz kapelan Guido znał się na ogrodnictwie, urządził mały ogródek przed oknami z samych kwiatów. Nie znano jeszcze ani dalij ani hortensyj, ani kamelij, ale róże w różnych kształtach, gwoździki dubeltowe w odmiennych kolorach, lewkonie, rezeda rabatami z bukszpanów przedzielonemi, przyjemny z daleka wydawały zapach. Po skończonej mszy do której ja zawsze służyłem, ksiądz Guido prowadził mnie do osobnego pokoju, gdzie przez dwie godziny uczył mnie katechizmu, czytania, pisania i początkowej arytmetyki. Jakoż w sześciu leciech czytałem dobrze, pisałem wyraźnie, a największą moją rozrywką było czytanie żywotów świętych, bo to były jak historyjki; książka była wielka i dużym drukiem, ja widząc poświęcenie się i cnotliwe życie świętych, myślałem sobie, że gdy będę wykonywał przykazania Boskie, to i mnie da Pan Bóg władzę robienia cudów.

Była także sadzawka na dziedzińcu, w której karpie tak były łaskawe i przyuczone, że gdy moja matka zbli-

żywszy się zadzwoniła, one wychodziły na brzeg, a matka moja pożywienie im dawała, które ja w koszyku przynosiłem.

Raz w rok w lecie jeździła moja matka ze mną do Częstochowy — ojciec mój zostawał w domu. Pierwszego dnia nocowaliśmy u ś. Anny w Przyrowie, o cztery mile odległej od Włoszczowy, tam jeden dzień na nabożeństwie przepędziliśmy, a nazajutrz do Częstochowy, gdzieśmy równie tylko jeden dzień bawili. Kiedy pogoda była, jeździliśmy najczęściej spacerem o pół mili do Czarney, gdzie jest grób Czarnieckiego a kościół i zamek wystawiony od niego przez samych niewolników Szwedów, gdyż w owym czasie każdy naczelnie dowodzący, miał prawo wziętych w niewolę, używać na swoją korzyść. Drugi nasz spacer był piechotą na kopiec niezmiernie wysoki, gdzie podług tradycyi dwóch braci dziedziców Włoszczowy pokłóciwszy się, jeden z nich schronił się na ów kopiec i tam obwarowawszy się bronił i napadał na brata. Żniwa na wsi odbywaliśmy — rodzice moi zawsze ze mną do stodoł chodzili, na snopkach siedzieli, a ja trawę na łąkach pokoszoną przynosiłem i koniom dawałem. — O szczęśliwe to były czasy — jak miłe ich wspomnienie. Podobnie niewinnych uciech, ani tak skromnego życia żaden dziś dom nieprzedstawi.

Pewnego dnia ojciec mój czując się zdrowszym, rzekł do mojej matki: — chcę odwiedzić dawnego mego przyjaciela podskarbiego koronnego Wesła. Jutro pojedziemy do Pilicy, gdzie on po rozproszeniu Konfederacyi, w której był najczynniejszym członkiem generalicyi mieszkał. Weźmiemy i chłopą, bo go niema przy kim zostawić. Miałem wtedy lat 9 i jeszcze gubernera niebyło — a chociaż

raz tylko ten, byłem w Pilicy, miejsce to tak mi jest pamiętne, jak gdybym go dzisiaj widział. Pałac na górze wspaniały w guście teraźniejszym, schody marmurowe, pokoje niezmiernie wysokie pełne mebli kosztownych, zegarów w różnych kształtach, którym, jako dziecko najwięcej się przypatrywałem.

Wyszedł naprzeciw nas sędziwy starzec podskarbi koronny Wesel, uściskali się z ojcem moim, i na górę wszyscy poszliśmy. Podskarbi Wesel obrócił się do swego marszałka Piaseckiego, aby ze mną poszedł na przechadzkę, i zabawił mię aż do czasu obiadu — pokazywał mi stajnie i wiele koni pięknych, zaprowadził do kuchni, gdzie mnie najbardziej uderzyło, że widział niedźwiedzia pieczeń obracającego. Gdyśmy wrócili, obiad był zastawiony. Podskarbi we fraku z orderem orła białego, siedział na czele — gdy kamerdyner obnosił półmiski także już z siwemi włosami — podskarbi odezwał się do mego ojca: — Wojewodo! prezentuję ci mego kamerdynera Batystę, który grał rolę ambasadora francuzkiego, do generalicyi niby przysłanego — wiesz bowiem zapewne, że kiedy ta Konfederacya w tak świętym zamiarze rozpoczęta, którą tylko najwięcej Kazimierz Puławski wspierał, zaczęła się rozpraszać, i coraz mniej członków jej było, a ci co pozostali, zaczęli krzyczeć, że Francya ani wojska, ani pieniędzy nieprzysyła — ja chcąc podnieść ducha oświadczyłem, że w ten moment odebrałem list, w którym mnie zapewniają, że poseł z Francyi już w drodze. Miałem cztery tysiące czerwonych złotych, które kamerdynerowi memu oddałem, nauczywszy go co ma mówić gdy przyjedzie — a że Francuz doskonale swą rolę odegrał — tak więc przez miesiąc prze-

dłużyłem skon naszych nadziei. Niech to czytelnika nie dziwi, że takie szczegóły dziś jeszcze opisuję, bo niemając nigdy imaginacyi żywej, pamięć ten brak nagradzała, i choć w dziecku, silne wrażenie zrobiła.

Rzadko kiedy bywali u nas goście — bo moi rodzice żyjąc w samotności, wizyt nieoddawali. Najczęściej nas odwiedzał brat mojej matki, Męciński kasztelan spicymierski, i bracia mego ojca wojewoda mazowiecki, i później marszałek, a podówczas referendarz koronny. Gdy kilka dni się zabawili — gościnnych pokoi niebyło — więc po kolacyi stół zbierali, siana przynosili, z łomoków pościel wybierali, parawanami się oddzielali, i tak się spać kładli; co zwano spać pokotem.

Na wszystkie główne święta, wszyscy synowie do mojej babki do Końskich się zjeżdżali. Moi rodzice także nieomieszkali podówczas znajdować się — wyjeżdżali zawsze rano. U wszystkich magnatów był zawsze syn obywatelski na respekcie jak mówiono uważany — siadał razem z państwem do stołu, miał swego konia na obroku, brał 300 złp., obowiązkiem jego było mieć dozór nad stajnią i dworem, i jechać konno przy karecie państwa, gdy byli w drodze. Kareta nasza była obszerna, sześć osób mogłoby się być wygodnie pomieścić, na drągach i pasach, bo resorów nieznano. Kiedyśmy jechali do Końskich, tyle osób w niej siedziało: — mój ojciec, moja matka, ja, panna służąca i ksiądz kapelan — sześć koni karych było do niej zaprzężonych, stangret wąsaty w ferzyi polskiej z kołpakiem pliszowym, z którego spadał pąsowy wierzch z kutasem, Hajduk z tyłu — strój taki hajduków był węgierski i powszechnie używany. Bryka szła duża z kredensem czterema końmi, na której kamer-

dyner, kredencierz, kucharz i garderobianna. Gdy pojazd ruszył, ojciec mój przeżegnawszy się, zaintonował: Zawitaj ranna jutrzeńko — potem całą koronkę do Matki Boskiej śpiewaliśmy wszyscy. Pospolicie cztery mile ujeżdżaliśmy i stawali na nocleg we Mlinie w karczmie, gdzie w szynkownej izbie siano nam na posłanie przynoszono — na drugi dzień stawaliśmy w Końskich o 11tej rano, a chociaż było cztery pawilony na wzór tych co są w Pilnitz w Saksonii — ojciec mój obrał za mieszkanie dwór obszerny drewniany, który zwano starym pałacem, niechąc po schodach chodzić; a trzy pawilony zamieszkane były przez moich trzech stryjów, którzy żonaci, z całą rodziną przyjeżdżali swą matkę odwiedzać.

Wypada mi w tém miejscu wspomnieć, kto był moim dziadem — Jan Małachowski syn Stanisława wojewody poznańskiego, który się wślawił traktatem karłowickim z Turkami zawartym — był od młodości w Dreźnie na dworze Augusta III elektora saskiego i króla polskiego.

Monarcha ten tak go sobie upodobał, że go zrobił kanclerzem W. koronnym, obsypał go łaskami dawszy mu na własność ośm starostw, które on między synów swoich a moich stryjów podzielił. Król ten nosił się w stroju polskim, piękny mężczyzna, był wysokiej i wspaniałej postawy; od tego to czasu familia Małachowskich co do majątku i znaczenia politycznego górowała nad drugimi. Król co rok ze swym kanclerzem i następcą księciem Karolem jeździł na sejm do Warszawy. Podczas jego pobytu książę Karol poznał pannę Franciszkę Krasieńską urodzoną z Małachowskiej, pokochał się i sekretnie ale legalnie ożenił się. Król dowiedziawszy się o tém zaczął zimno traktować swego ministra, nakoniec wstępu mu da

swego pokoju wzbronił. Niemógł znieść tej odmiany ze-psuty poufałością króla kanclerz; jednego rana o zwykłej godzinie poszedł kanclerz na pokoje królewskie, a gdy mu szambelan oświadczył, że król niechce się z nim widzieć: idź rzecze i powiedz panu swemu, że kanclerz przychodzi w interesie korony; w moment otworzyły się podwoje, król stał z czołem zmarszczoném i surową postacią. Przychodzę Najjaśniejszy Panie humor twój rozjaśnić, a siebie do łask dawnych przywrócić. Prawda, że szlachcianka Krasińska moja siostrzenica, nie mogła mieć prawa do korony księżęcej, ale kiedy w posagu dla swego męża przyniesie inwestyturę księstwa Kurlandzkiego, to będzie powabniejsze od arcyksiężniczki austriackiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że sejm tylko dawał inwestyturę a kanclerz na tych obradach miał największą przewagę. Uśmiechnął się król, podał rękę którą kanclerz ucałował i jeszcze go uściskał, jakoż zaraz na następnym sejmie, książę Karol otrzymał księstwo Kurlandzkie, które w kilka lat później, Imperatorowa Rosyjska Katarzyna II oddała Bironowi, a po jego śmierci do cesarstwa przyłączyła. Kanclerz więc Małachowski mając tak wielkie dostatki, miasto Końskie erygował, fabryki żelazne pierwszy założył, przedmieście Pomyków, domy z piętrami na sposób szląski wystawił, rękodzielników zagranicznych sprowadził; nakoniec ogród i mieszkanie na wzór letniego królewskiego mieszkania w Pilnitz zaczął zakładać, gdy śmierć wczesna nie pozwoliła mu dokonać swego planu. Umarł bowiem w r. 1763 wkrótce po śmierci Augusta III niedoczekawszy elekcyi nowego króla; zostawił czterech synów i 8 córek z których 7 było zamężnych. Było zaś wszystkich dzieci 23, ale tylko te 12 przy życiu zo-

stało, ósma najmłodsza Izabella, która z miłości dostała melancholii, później pomieszania zmysłów. Ale stan jej choroby był spokojny. Siedziała cały dzień na krześle, mało mówiła, a jadała wiele. Miała lat 14 i była najpiękniejszą z sióstr, kiedy ją poznał książę de Nassau, pokochał się w niej i obiecał się z nią żenić. Gdy rok minął bez żadnej o nim wiadomości, zaczęła zaraz od rzeczy mówić, a później jej stan coraz bardziej się pogorszał. We dwa lata książę de Nassau przejeżdżał przez Końskie i pytał się o nią, ale już nie można było jej pokazać. Odwiedzał ją w tej słabości każdy co chciał ją widzieć, a gdy wszedł do pokoju jaki mężczyzna, czarnemi pięknemi oczyma i ognistém wejrzeniem długo wpatrywała się w niego, potem smutnym głosem rzekła: To nie on, a kiedy tamten przyjdzie? Zwykle zaraz wpadała w milczenie, które przerywała mówiąc do przycho- dzącego, daj tabaki, bo tej bardzo wiele używała.

Babka moja po śmierci męża lat 20 jeszcze żyła, i w 84 roku życia swego umarła. Pani ogromnych i rozrzuconych włości, miała komisarzem miejscowym Rabbę, do posełania Fajgla i mnóstwo innych oficyalistów. Oprócz tego było piechoty uzbrojonéj 48 i hułanów konnych 24, które babka moja Konfederatom oddała, sobie tylko 6ciu hułanów zostawiając. Komendantem tej zamkowej straży był Magnuszewski —; było także dwóch laufrów i jeden garbusek błazen, jakich na wszystkich wielkich dworach używano; mieli oni przywiléj wszystko mówić co im przyszło do głowy, i nikt niemógł się gniewać, kiedy jaki żarcik dowcipny przeciw niemu powiedział — jeszcze go, ale już bardzo starego zastałem.

Gdy już rok 10ty zacząłem, postanowiono dać mi guwenera. Właśnie podówczas Klemens XIV. Ganganelli Papież rozwiązał zakon Jezuicki na przedstawienie wielu monarchów, że ci mieszczeni się do spraw politycznych i intrygi sekretnie prowadzone po dworach zagranicznych robili.

Rozproszeni po całej Polsce, wypędzeni z klasztorów, szukali umieszczenia po domach prywatnych. Jednego więc młodego księdza nazwiskiem Rykaczewskiego rekomendowano moim rodzicom, a że o każdym Jezuicie była opinia, że posiada wszystkie nauki — więc go użyto za guwenera do mnie. Nie miał on żadnego wyobrażenia o edukacji — ale nazywał się Mentorem a mnie Telemaikiem, bo widać, że nie był mu znany *Eleve* Roussa. Posiadał on język łaciński doskonale, a że u Jezuitów uczono z Alwara, więc i ja innej gramatyki nieznałem. Przyznać muszę, że w tym przedmiocie najwięcej od niego korzystałem. Uczył on mnie i po francuzku, sam umiejając tyle i wymawiając, jak u nas na prowincyi i pensjach mówią; dawał mi do tłumaczenia Millota, mówiąc, że zarazem i historyi się nauczę. O jego umięjętności to tylko powiem, że, gdy raz tłumacząc, napotkałem wyraz *Pretesse* napisałem: księżowa. Niewiedząc może sam jak poprawić, kazał mi klęczyć, mówiąc, że to na pośmiewisko stanu jego zrobiłem. Jednak *księżowa* bez poprawki, była tylko przemazana. Z tém wszystkiém miał on cnoty w dozorowaniu mnie; sam czystych obyczajów pilnował, żebym się z liberyą niewdawał i nigdzie sam nie biegał bez opowiedzenia się. Brat mój miał do siebie Pijara Szostowicza człowieka naukowego, który widząc moje zdolności, ubolewał, że próżno tracę czas przy ta-

kim nauczycielu. Straszyl mnie zawsze l'abbé Rykaczewski, że u Pijarów, gdzie był mój brat w konwikcie i mnie miano oddać, za najmniejsze przewinienie biją; a ja ostatnią karą od matki mojej, chociaż już lat 4ry minęło, tak byłem przerażony, że ze łzami prosiłem aby do nich mnie nieoddawano. Byłbym tam nierównie więcej korzystał w naukach, bo chociaż prędkiego objęcia nie miałem, ale byłem pilny i pracowity. Został więc mój guwerner aż do ukończenia szkół w Krakowie. Ojciec mój był łacinnik; często mi robił w tym języku zagadnienia, a będąc kontent z odpowiedzi chciał mi to wynagrodzić. Razu jednego, mówi do mnie, obacz Śtasiu która godzina na zegarze. Odpowiedziałem, że niemam zegarka, ale to było naturalnie bez żadnej innej myśli. Wzięto tę odpowiedź za dowcipne przymówienie się i ojciec kazał zaraz z Warszawy przywieść złoty zegarek, który bardzo długo chowałem. Była to pierwsza uciecha młodości. Moi rodzice zwykle odjeżdżali na lato do Włoszczowy, mnie zostawiając w Końskich pod dozorem księdza Rykaczewskiego. Moja matka o 4tej rano wstawała, lubiła każdego budzić i zaraz zwiedzała ogród, kuchnię i stajnię. Obiad bywał o pierwszej, do którego zwyczajnie siadało osób 20. Stryjowie moi z żonami najczęściej tu mieszkali i razem cała familia jadała. Dzieci zaś w osobnym przybocznym pokoju pod dozorem guwenera i guwernantek. Osobny jeszcze był stół dla wszystkich dworskich i panien służących; ci się zbierali w starym pałacu o 2giej godzinie, a to dla tego, że u stołu pańskiego lepsze przysmaczki im dosyłano. Po obiedzie jeździliśmy wszyscy na spacer; cztery pojazdy sześciokonne zachodziły. Stryj mój Hiacynt Małachowski, później W. kan-

clerz po biskupie kanclerzu Młodziejowskim, darował mi ładnego konika z ubraniem. Była to druga radość.

Jeździłem ile razy była pogoda z księdzem Rykaczewskim. Rodzice moi zwykle co kwartał posełali guwernerowi memu złp. 300 pensyi, niewiem czy przy tém było co przeznaczone dla mnie, bom się o to nigdy niepytałem i tylko babka moja co miesiąc przynosiła dukata w złocie, a że bardzo lubiłem rysować, więc papier, ołówki i kopersztychy za to kupowałem, nigdy wcześniej przed upływem miesiąca wszystkiego nie wydałem. Stryjowie moi lubili polowania wielkie z parkanami, sąsiedzi zjeżdżali się. Lasy były ogromne, polowano na dziki, niedźwiedzie, jelenie. Wracano na noc w sobotę do Końskich gdzie na dziedzińcu wystawione było wielkie rusztowanie z drzewa, na którym powieszona była zwierzyna. Co tydzień bryczki przywoziły po trzy a czasem więcej niedźwiedzi, dzików kilkanaście, i najmniej 6 jeleni, ledwie tam kilka sarn można było widzieć a żadnego zająca; zwierzyną tą pospolicie babka rozrządzała i w sąsiedztwa rozsyłała bo moi stryjowie więcej uległości i uszanowania mieli dla swojej matki niż dzisiejszego wieku ucywilizowana młodzież.

Powiedziałem, że babka moja była charakteru słodkiego i humor miała wesoły. Powszechnie była kochana ale jęj się bali, nie tą bojaźnią surowości, ale żeby jęj nie przynieść zmartwienia.

Co rok na ostatnie trzy dni karnawału sprowadzała muzykę z Wielkiej Woli, z klasztoru Bernardynów. Wszyscy dworscy i panny zchodzili się o 5ej do sali, dawano ciasto i kawę bo podówczas herbaty nie używano. Potem komisarz Rabba otwierał bal, czasem i który z moich

stryjów tańcował z panną dworską. Moja babka siedziała w krześle i przypatrywała się tańczącym, o 9tej szła spać do swego pokoju, a tańczący przenosili się do starego pałacu gdzie była dla nich przygotowana kolacya i późno w noc tam się bawili.

Może czytającemu dziwnie będzie że tak mało o wypadkach osobistych piszę, bo same dziecinne byłyby krótkie i mniej interesujące.

I tak, gdy nadeszła do Końskich wiadomość, że król Lewicz saski księżę Karol ma przyjechać w odwiedziny do kanclerzyny babki swjej żony z domu Krasieńskiej, natychmiast posłano do Warszawy po najbiegłego perukarza by przystroił głowy wszystkich dam mogących mu się prezentować. Artysta przywiózł z sobą wysokie kulbaki, nakształt tych jakie w Hiszpanii dla mułów używają, i do tego szpilki czarne podwójne, wielkości 18 cali. A że piękność tych fryzur na ich wysokości zależała, przeto sporządzać musiano małe rusztowanie; ażeby ubierająca się mogła ten cel osiągnąć, potrzebowano kilka godzin czasu, dla tego cztery synowe kanclerzyny jedna po drugiej siadały do wykonania tego arcydzieła. Ukończone głowy musiały się strzedz najmniejszego poruszenia, aby te sztuczne piramidy pudrem obsypane, na tak lekkich podstawach spoczywające, nienaruszonemi zostały, z tej przyczyny wszystkie cztery synowe, w wilią dnia przybycia spodziewanego gościa, kłaść się do łóżka nie mogły, i całą noc na krzesłach przepędziły. Nazajutrz dopiero o 5ej rano przystępywały panny respektowe, do ubrania pań swoich w rogówki, dochodzące w stosunku fryzur do trzech łokci niemal szerokości, które dopiero pokryte zostały według objętości robrouami.

Rodzice moi rzadziej już bywali w Końskich, ojciec mój często na pedogrę zapadający, podróży odbywać nie mógł; zostawałem więc w domu babki, w której także były i inne wnuczki: siostra moja co poszła za Roztworowskiego, Grabińska z którą się ożenił Zboiński, córka synowej a żony kanclerza co poszła za Karwickiego i syna kanclerstwa co się ożenił z Sołtykówną. Te lata dzieciinne w tak liczнім i stósownem towarzystwie najprzyjemniej przepędziłem. Grywaliśmy w gry biegające, do których i mój stryj kanclerz lubiący dzieci należał, przy długich zaś wieczorach wszyscy zasiadali u stołu wielkiego. Babka moja przewodniczyła, graliśmy w loto płacąc za każdą kartę trzy grosze, a kiedy któremu z nas dzieci brakowało pieniędzy to zaraz mu dawała. Och jakże to miło zwrócić się na owe czasy, jak ja szczęśliwym się czuję, że pamięć moja dochowała te dawne zdarzenia. Jakaż zmiana w obyczajach, towarzystwie, sposobie życia i jaka jeszcze przygotowana przyszłość!

Schodziły miesiące, mijały lata, zacząłem rok 12ty, lekcyje moje przy księdzu Rykaczewskim odbywały się regularnie; ale jakiż sposób miał uczenia? dawał mi książkę, naznaczał wiele mam czytać i potem opowiadać, lekcyą zaś łacińską i francuzką z książki tłumaczyć i pisać, ale czas przepędziłem na ciągłym zatrudnieniu i niewinnych zabawach. Nieznałem nieszczęścia ani smutku, kochałem bardzo babkę moją, i ta mnie więcej od innych wnuków lubiła. Nie skarżąc się na żadną słabość, lubiąca chodzić wiele, zdawała się obiecywać, być długo pomiędzy nami, lecz że zawsze szukają przyczyny przyspieszenia śmierci, powiedziano więc że niestrawność spowodowała jej chorobę. Miała apetyt dobry a lubiła

wszystkie niezdrowe potrawy, osobliwie marynaty. Choć miała doktora domowego de Tilli, człowieka bardzo w swój sztuce biegłego, ten widząc gorączkę się wzmagającą, osądził jeszcze kogo do rady przyzwać, a że podówczas nie tak kraj był napełniony doktorami jak teraz, posłano zaraz do Kiele gdzie był sławny doktor Włoch Cezarotti, ten przybywszy osądził, że choroba wyleczoną być nie może. A lubo jeszcze babka moja się przechodziła, namówił ją aby się położyła. Cztery dni jeszcze po tém żyła i opatrzona SS. Sakramentami, do końca rozmawiając, umarła dnia 10go lipca 1782 roku. Nie opisuję pogrzebu bo każdy pojmie, że z całą okazałością był obchodzony. Nastąpił potem dział majątku i rozgraniczenie z sąsiedzkimi dobrami. Ojciec mój, który lubił spokojność i często zapadał na pedogrę, ani jednemu ani drugiemu nie był obecny, to też w obydwóch ukrzywdzonym został. Dobra Końskie, pałac w Warszawie i kamienica w Krakowie dostały mu się w dziale, starostwo Opoczyńskie dawniej mu było przez ojca darowane, Włoszczowa zaś, Pruswisko, Niegonowice i Rodaki były posagiem matki mojej. Jeszcze do działu ojca mego należał Baranów nad Wieprzem, ale moja matka za poradą mego brata starszego, sprzedała go za trzykroć sto tysięcy generałowi Byszewskiemu, bardzo tanio. Gdy lat 18 zacząłem radzono mi abym przeciw sprzedaży generałowi proces wytoczył, że byłem małoletni i kupno podobne jest nieprawne. Ale ja ugruntowany w moralności zasadach szanowałem podpis matki mojej i nie dałem się uwieść radom pochlebców, którzy psują serce młodzieży.

Po ukończonych działach rodzice moi ze mną wrócili do Włoszczowy, Końskie zostało paste, gdyż się wszy-

scy rozjechali. Administracya tych dóbr była oddana komissarzowi Rabba na czém też majątek zrobił, kupiwszy wieś Szczuciec w powiecie Opoczyńskim. Ojciec mój częściej zapadał na podagrę i w sześć miesięcy po śmierci swjej matki umarł w 54 roku życia swego.

We dwa tygodnie po odbytych żałobnych obrzędach, pojechała matka moja i ja z Rykaczewskim do Częstochowy, staliśmy w klasztorze, a poświęciwszy tydzień na nabożeństwa, pojechaliśmy do Żarek mieszkania mego wuja, kasztelana Męcińskiego. Dom ten zamożny na wielkiej stopie był utrzymywany. Dwór liczny, muzyka, gości zawsze pełno, z trudnością zdecydował matkę moją aby kilka miesięcy u niego przebyła. Przyjęła te braterskie zaprosiny.

Widziano, że mając lat 14 czas próżno w domu tracę, wuj mój zdecydował matkę moją, aby mnie do szkół do Krakowa odesłała, a mając ciągłe stosunki z tém miastem, bo dobra jego pod sam Kraków o 10 mil nieprzerwanie dochodziły, wszystkie trudności załatwił. Dom na ulicy S. Anny u aptekarza Likiego wynajął, jedzenie i opał ugodził. Jak więc z Rykaczewskim prosto z Żarek wyjechałem, przybywszy zastałem umieszczonych w tym samym domu dwóch Kochanowskich synów Chorążego Sandomirskiego, urodzonych z Roztworowskiej. Starszemu było imię Antoni, później przez sejm konstytucyjny był posłany jako ambassador do Stokolmu. Chodził do 5tej klasy ze mną. Młodszy Ignacy był w 3ej klassie. Mielśmy 4ry pokoje, jadalśmy razem, oni jednego służącego, i ja jednego miałem. Nadzór miał nad nami trzema Rykaczewski.

Poznali professorowie słabe moje przygotowanie do nauk, ale widząc chęć i aplikacją, oraz charakter mój łagodny, tak mnie wszyscy polubili, że professor wychodząc z klasy brał mię do swojej stancyi, sam mi tłumaczył i pracował razem ze mną. Szczególnie zaś jeden z professorów wymowy i literatury: Marcin Fijałkowski przywiązał się do mnie i wszystkie lekcye kazał u siebie wyrabiać. Gdy raz w klasie dał materyą do napisania, że handel będąc prostą zamianą jednego przedmiotu za drugi, nie z bogaca kraju, lecz tylko potrzebom dogadza, nie wiedząc jak zacząć i co napisać, prosiłem Rykaczewskiego aby mi dopomógł, pismo więc jego zaniósłem do Fijałkowskiego, ten przeczytawszy rozumiejąc, że to ja sam pisałem; kochany panie Małachowski, rzecze do mnie, to bardzo ubogie, tego w klasie czytać nie możesz, bo tam każdy lepiej napisze. A gdym mu powiedział, że to mój guwerner ułożył, teraz niedziwuję się że tak twoja edukacya zaniedbana była, ale to przy twojej pilności nagrodzimy. Siadaj przy moim stoliku i rozbierzemy tę materyą, zaczął mi robić z niej pytania, a co odpowiedziałem kazał pisać; teraz ułóż to porządnie, a ja styl tylko poprawię i będzie przez ciebie napisana mowa. Takim to ja sposobem najwięcej korzystałem w szkołach, i w końcu roku dogoniłem i zrównałem się z drugimi.

W dni rekracyi mieliśmy ćwiczenia żołnierskie. Było nas najmniej w całym kolegium 500 uczniów, każdy z nas sprawił sobie kitel biały z płótna, karabin z odwachu był pożyczany i lederwerk. Zarzycki podoficer z regimentu Wodzickiego, pod nazwiskiem królowej Jadwigi uczył nas mustry. Chodziliśmy na równiny Łobzowa, założyliśmy odwach, gdy który professor przechodził, je-

den z nas trzymający wartość prezentował broń. Ale największa radość nasza była, kiedy ksiądz Marciszewski prefekt szkół nadchodził. Wtedy szyldwach wołał do broni, występowała cała parada, prezentowaliśmy broń, a mając bęben, jeden z małych bił werbel. Na tych ćwiczeniach bogatsi kupowali śmietanę i chleb. Najczęściej ja te podwieczorki sprawiałem, chociaż miesięcznie aż do ukończenia szkół nie brałem więcej jak 54 złp. Ale mierność prowadzi do porządku, obfitość rodzi zbytek i smutne z tego następstwa.

Dwa miesiące w roku to jest lipiec i sierpień były przeznaczone na wakacje. Gdy już czas nadchodził, że matka moja miała przysłać po mnie pojazd, professor Fijałkowski rzekł do mnie: Chodźmy do księgarni, trzeba żebyś kupił książki które do 6tej klasy będą potrzebne. W domu odczytując je łatwiej potem przyjdzie ci się nauczyć co professor wykłada. Podziękowawszy i pożegnawszy się ze wszystkimi professorami, nazajutrz o wschodzie słońca już byłem gotów, a na drugi dzień stanęliśmy w Włoszczowie. Ci tylko co w szkołach publicznych nauki odbierają, ci najlepiej wiedzą, jaką radością są przejeżdżający do domu rodzinnego. Minęły dwa miesiące wakacyj i ja znowu do Krakowa pojechałem, szkoły się zaczęły, pilnością i pracą zrównałem się w naukach z tymi, co wyższość ich objęcia i żywość dowcipu dawała nademną pierwszeństwo.

W czasie ostatniego roku kursu moich nauk, przybył do Krakowa z licznym dworem król polski Stanisław August Poniatowski. Wracał on z podróży z Kaniowa gdzie się z imperatorką rosyjską Katarzyną II i Józefem II Cesarzem austriackim widzieli. Monarcha ten wymowny

wystawiając smutny stan Królestwa swego, wzruszył serce tak Imp. Katarzyny jak i Ces. Józefa i ci oboje mu przyrzekli i wspólnie zagwarantowali, że odtąd bronić będą granic jego państwa. Król bawił w Krakowie dni ośm, stanął ze dworem swoim w zamku, bo ten jeszcze mógł być mieszkalny i na przyjazd jego był wyreparowany i wyczyszczony.

Gdy z akademią byliśmy królowi w Zamku przedstawieni, widziałem posadzki marmurowe, boazerye złożone, wszędzie ślady dawnego królów przepychu i mieszkania, później dopiero ściany podrapano, posadzki powyjmowano a z mieszkania królów szpital dla żołnierzy założono. Właśnie pod ten czas zaczął się egzamen szkół Kollegii, uniwersytetu i akademii. Biskup Naruszewicz ów sławny pisarz, nazwany Tacytem historyi polskiej, był także zaproszony, a wywoławszy mnie wyłącznie, zadawał mi pytania z klasyków łacińskich i historyi polskiej, że zaś były tylko dwa medale jako premia, jeden złoty, drugi srebrny z napisem w laurze: bene maerentibus, przeto mnie, się dostał srebrny, a złoty odebrał uczący się razem ze mną Andrzej Śniadecki, który potem tak sławnym był doktorem i professorem nauk przyrodzonych w Wilnie i sprawiedliwie dane mu było pierwszeństwo, albowiem miał on pamięć żywą, dowcip bystry; mnie zaś tylko usiłowanie i praca zastępowały dar natury, bo objęcie każdego przedmiotu wiele mię kosztowało, i wyznać muszę prawdziwe moje podówczas zdziwienie, gdy w liczbie tysiąca współuczniów ja wynagrodzony zostałem.

Za powrotem moim do domu, matka uradowana uściskała mię, mówiąc, że mi odtąd płacić będzie co kwartał 2000, że na dwa miesiące pojedę do Warszawy do

mego stryja marszałka, który już losem moim nadal obiecał się zatrudnić. Dwa miesiące w domu matki bawiłem. — Z początkiem września odprowadził mnie kamerdyner stary moich rodziców do Warszawy. Rykaczewski probostwo w nagrodę otrzymał. Gdym był przedstawiony memu stryjowi, ten mnie grzecznie ale zimno przyjął. Oświadczył, że mam dwa pokoje w oficynie przeznaczone, że na drugiej stronie we dwóch także pokojach mieści się Ignacy Stecki podobnie wnuk a mój kuzyn, że wszystko dla mojej wygody jest rozkazane, że o 1szej na obiad przychodzić trzeba, że powinienem mieć osobny ekwipaż. Powiedziałem, że mi matka na ten cel dała 6000. To więcej niż potrzeba, rzekł stryj mój. Ale, że się WPan na tém nieznasz, więc rozkażę memu koniu-szemu Dytrychowi, aby się tém zajął. Nie wyszło tygodnia miałem karetę bardzo piękną, parę koni karnogniadych z szorami białymi. Dwór zaś mój składał się ze służącego Sobestyana Łyczkowskiego, przebranego za strzelca, bo taka podczas była moda, i węsala stangreta w liberyi z burtami. Właśnie podówczas zaczął się sejm konstytucyjny, który, że był nadzwyczajnie zwołany i z całej Polski, nazwany był sejmem konfederacyjnym. Gdy pierwszy raz wszedłem do miejsca obrad, przechodziłem przez długi korytarz, w którym stała kompania gwardyi miejskiej. U drzwi obrad stało dwóch odźwiernych, paradnie w ferezyach polskich z galonami ubranych, w ręku halabardy trzymających. Lecz, gdy już wszedłem do tej świątyni narodowej, widok tak wspaniałego zgromadzenia odurzył przytomność moją. Mimowolnie zatrzymałem się i z daleka rozpatrywałem patrząc na tron po 7 stopniach na początku sali bogato przybrany. Król na nim

siedzący otoczony ministrami, wojskowemi i dworem od złota i haftów się lśniącym — dalej na dół od tronu senat w krzesłach, na początku po prawej ręce, prymas w pasowym ubiorze, a przy nim krucyfer ze srebrną wysoką laską, na wierzchu której krzyż, wpodług biskupi, dalej wojewodowie, kasztelanowie. Ławki czterostopniowe za krzesłami, na których województwami podług porządku siedzieli posłowie. Na przeciw króla dwóch marszałków z laskami hebanowemi siedzieli: od prowincyi koronnej był mój stryj, od prowincyi litewskiej książę Kazimierz Sapieha, przy każdym stał sekretarz — koronny był Siwczyński, litewski Ancuta. Galerye były napełnione arbitrami i szybko piszącymi. Naprzeciw tronu była wielka loża dla posłów zagranicznych, a dwie loże nad galeryami po obydwóch stronach dla dam, żadna jednak wniść tam niemogła bez biletu. Ja stałem za krzesłem mego stryja, ale gdy pierwszy raz odezwał się książę marszałek Sapieha i powstał z krzesła swego w podle stryja mego stojącego: Najjaśniejszy królu panie mój miłościwy! Prześwietne Rzeczypospolitej skonfederowane stany! Wymowa kwiecista, dźwięk głosu przyjemny i donośny tak silne na moim umyśle wrażenie zrobiło, że rozumiałem, że to co czytałem w historyi rzymskiej widzę na jawie — że to są ci sami ojcowie ojczyzny, co radzą o dobru Rzeczypospolitej. Przytém wieluż to było innych sławnych mowców — Stanisław Potocki, Niemcewicz, Matusiewicz, Weisenhoff — wyliczać więcej byłoby próżnym powtarzaniem imion, które i w zagranicznych opisach sejmu tego sławnego odznaczone były. Gdy ze stryjem wracałem do domu, ten zawsze mnie wypytywał o to, co który poseł mówił, ale dziwił się pamięci mojej, żem ledwie niedo-

słownie każdego mowę powtarzał. To regularne bywanie na sejmach, słuchanie żywych z obu stron rozpraw, stało się drugą dla mnie szkołą i otworzyło nierozwinięty mój umysł. Stryj mój później poznawszy zdolności moje, ponieważ zawsze ranne i wieczorne otwierał posiedzenie, dawał mi materyą, o której chciał mówić, a ja krótkie zagadnienie mu napisałem. We święta rano kościół, później spacer i teatru, było zajęciem całego dnia. Stryj mój wtedy zwykle jeździł o 5tej wieczorem do Łazienek do króla i mnie także brał z sobą, a kiedy była rozmowa z królem, ja na spacer chodziłem do Parku, gdzie pełno znajomych spotykałem.

Stryj mój po śmierci pierwszej żony z domu Czapskiej ożenił się z jej siostrą co była za księciem Radziwiłłem i miała znów córkę Maryannę, a ta później poszła za generała Wincentego Krasińskiego. Obojga stryjowstwa życzeniem było mnie ją przeznaczyć za żonę. Ułatwiali mi wszelkie sposoby zapoznania się; gdy brała lekcyę tańców, Stryj kazał mi się z nią uczyć. Przychodził trzy razy na tydzień nauczyciel tańców Ledoux, dawał lekcyę Allmanda, Menueta, ale księżniczka miała rok dziesiąty a ja 18ty. Ona mała a ja cienki i wysoki, przytém strój polski nie był stósowny do początkowej nauki tańca, byłem do tego nieśmiały i niezgrabny, skakałem jak żuraw. Guwernantka Ballet często mnie zapraszała to na owoce, to na lody, ale ja przyszedłszy nie wiedząc co mówić milczałem, konkurencyja więc z dzieckiem nie szła pomyślnie, chociaż stryj mój powtarzał mi często: księżniczka ci przyniesie miliony w posagu. Ale któryż młody robi rachubę na majątek. Przychodziła na zabawę do księżniczki we święta panna Anna Tyszkiewiczówna córka hetmana W. a siostrze-

nica królewska, co poszła później za W..... dwoma laty starsza od księżniczki. Czarno-brewa, biała, choża, wesółka, oczami pięknymi strzelająca, śmielsza w zaczepianiu mnie, musiała się więcej podobać, niż księżniczka skromna i mniej piękna. Ale szczęściem wojaż mój do Konstantynopola te wszystkie układy zerwał. Wspomniałem już że stał ze mną w jednej oficynie Ignacy Stecki trzy lata starszy odemnie, ale znający świat, śmielszy, nigdy nie był łajany. I tak pewnego dnia we święto przyszedł do mnie o 1éj z południa Broniec ze Steckim: chodź z nami na obiad do Poltza. Łatwo się dałem namówić, jedna tylko była oberża w całej Warszawie na ulicy Długiej, tam więc udaliśmy się, po obiedzie o czwartej godzinie przyszedłszy do stryja, ten zapytał mnie gdzie jadłem, u Poltza rzekłem. Co to za Poltz, nieznam, czy to jaki urzędnik? Nie, to oberża, co, — to oberża, to karczma, gdzie tylko ci chodzą, co do żadnego domu nie są proszeni. W Pan się tam nic dobrego nie nauczysz, każdy dom dla niego jest otwarty, nie proszonego z ochotą przyjmą wszędzie, proszę, żeby to było ostatni raz, inaczéj do mego stołu Wacpana nie przyjmę. Na całą odpowiedź pocałowałem w rękę stryja, a Steckiemu nic nie powiedział, chociaż był przytomny.

Sejm ten byłto rozwinięciem nauk w klassach branych, była to nowa szkoła uzupełniająca pierwszą. Każdy z młodzieńców który uczęszczał na sessye mógł wiele korzystać. Cóż to za mowcy byli, rozprawy żywe, jak oświecały stan Polski względem ościennych mocarstw. Sejm ten trwał lat 4 i dla tego nazwany był sejmem czteroletnim. Niechciano znieść przywilejów szlachectwa, nie łamano herbów, jak w czasie terroryzmu we Francyi, ale posta-

nowiono podnieść stan kupiecki i postawić go na równi ze szlacheckim. I tak pierwsi panowie mieli pod firmą swoją sklepy; mój stryj miał sklep sukna i choć raz powinien się w nim znajdować i łokciem mierzyć. Pochwalały wszystkie zagraniczne pisma postępowanie umiarkowane obrad naszych. Skasowano tron elekcyjny i haniebnę prawo iberum veto, w następstwie tron ofiarowano infantce księżniczce saskiej, córce elektora podówczas panującego. Książę generał Adam Czartoryski był posłany z tą wiadomością do Drezna jako poseł nadzwyczajny, a brat mój jako minister rezydent razem pojechał. Uchwalono wysłanie do wszystkich dworów zagranicznych, z oznajmieniem o nowej formie rządu Rzeczypospolitej polskiej. W skutku pamięci że mój pradziad wojewoda poznański zawarł traktat karłowicki z Turkami; stryj mój przeznaczył mię do ambassady Piotra Potockiego, starosty Szczyrzeckiego posła nadzwyczajnego do Porty Otomańskiej. Swita składająca tę ambasadę była bardzo liczna, bo oprócz dworu, żołnierzy kilkadziesiąt co kosztem rządu byli utrzymywani, kawalerów asystujących o swoim koszcie było jedenastu.

II.

Poselstwo do Stambułu.

Gdy już dzień odjazdu dla posła był oznaczony, oznajmiono nam wszystkim, cośmy do téj podróży należeli, iż miejsce zjechania się z posłem jest dzień 20 września 1789 r. Miałem kocz podróżny na urząd przez sławnego podówczas majstra Dangla wystawiony, gdy inne pojazdy się psuły, mój bez reperacyi powrócił, kosztował mnie 120 dukatów, co wtedy za bardzo drogi uważali, miałem z sobą dwóch służących, kamerdynera i strzelca, pierwszy zwał się Ligmann a drugi Sobestyan Łyczkowski, poczciwi, niepijacy, pilnujący mnie, obydwu do śmierci służyli.

Przed wyjazdem z Warszawy poznałem się był z młodym bo tylko dwoma laty starszym odemnie Adamem Brońcem, który był na opiece i sekretarzem księcia Stanisława Poniatowskiego synowca króla. Opatrzność tak nademną czuwała, że i ten młody był bez żadnych złych nałogów, pełen honoru i obyczajów czystych, jego więc za towarzysza podróży obrałem. Miał do współki kosztów należeć, ale o trzydziestu dukatach wyjechawszy, już odemnie w Wrocławiu był przymuszony pożyczyć. Później był marszałkiem dworu za panowania Cesarza Aleksandra, obdarzony orderami i gratyfikacyami, dochowywał mi zawsze wdzięczną przyjaźń, ale często był bez grosza, bo lubił żyć nad miarę i okazałość wystawy. Łaska więc to była szczególniejsza Pana Boga, że dwóch

tak młodych, bez dozoru i przyjaciela rozsądnego, oddani sami sobie i puszczeni w tak wielki świat, żadnych długów, żadnego wstydlwego postępku nie zrobili.

Przybycie posła do Wrocławia uprzędziliśmy pięciu dniami; przyjechał on tam z dwoma synami swemi Kazimierzem i Feliksem oraz guwernerem Polinim. Kazimierz umarł na suchoty we Włoszech, a Feliks przy wskrzeszeniu Polski przez Napoleona, był pułkownikiem, robił kampanią w Hiszpanii z której powróciwszy wkrótce umarł. Polini zaś ożeniwszy się w Wiedniu, jako dobrze mi znajomy, przyjechał do domu mego i będąc przez lat 40 najprzyjemniejszym towarzyszem, z nieodżałowaną stratą oboje umarli.

Kilka dni zabawiwszy we Wrocławiu, ruszyliśmy razem—poseł lubiąc towarzystwo wesołych, wsiadł ze mną, a w jego powozie pozostały dzieci i guwerner. Jechaliśmy przez Drezno, gdzie podówczas Elektorowi i Infantce przedstawieni, po trzech dniach odpoczynku, w dalszą puściliśmy się podróż, na Tyrol i Bawaryą; w Munich dzień tylko zatrzymawszy się, pospieszyliśmy przez Gorycyą do Mestry, skąd popłynęliśmy do Wenecyi.

Widok tego miasta że tak powiem pływającego na wodzie, tak mocne wrażenie na moim umyśle zrobił, że rozumiałem, iż nic w świecie niemoże być powabniejszego; zresztą uprzejmość mieszkańców, piękność i grzeczność kobiet, które dla nas teatr de Société uformowały, i sztukę z piosnkami do nas i narodu naszego zastósowanemi grały, tak mi to głowę wszystko zawróciło, że, gdy poseł po zabawieniu dni kilku dla uniknienia podróży morzem, którego się niezmiernie bał, trakt lądem na Rzym, Neapol obrócił, proponując mi, abym z nim równie je-

chał, i że tam nierównie piękniejsze przedmioty widzieć będę, nic mnie to niemogło nakłonić i jak Annibal w Kapuy, tak ja w Wenecyi ulgnałem. Przyszedłszy później do rozumu, żałowałem opuszczenia tak sposobnej pory, albowiem miałem tych klasycznych i starożytnością sławnych niewidziałem. Sześć niedziel zabawiwszy w Wenecyi, za ledwie stamtąd wyrwany zostałem, a w towarzystwie Poliniego, dzieci i świty posła, wsiadłszy na okręt kupiecki kapitana Chiszzo, opuściliśmy w nocy to zaczarowane miasto, odprowadzeni o milę w barkach i gondolach z muzyką przez damy pierwszego towarzystwa.

Widok pierwszy raz morza owęj nieprzejrzanęj przestrzeni, był dla nas zadziwiający. Mocne kołysanie się okrętu wszystkich słabości nabawiło, ja tylko jeden niechorowałem, morze jednak było dość spokojne — wiatr pomyślny, a przy muzyce posła, która rano i wieczór przygrywała, wesoło nam było. Lecz piątego dnia powstała burza przez dni trzy trwająca, podczas której każdy w swojej izdebce siedział, bo wyjść na pokład okrętu niepodobna było z obawy wiatru, ażeby nie być porwanym, przez ten czas nic niegotowano, tylko żywiliśmy się zimnym mięsiwem. Tak tedy okręt zapędzony został na brzegi Kalabrii. Kapitan upatrzawszy dogodne miejsce, z wielką trudnością zarzucił kotwicę. Ja z Brońcem i jednym służącym wzięliśmy czołno okrętowe w chęci dostania się na ląd. Morze jeszcze było tak rozhukane, że pomimo sześciu majtków silnych co wiosłami robili, czołno raz w górę stawało na powierzchni, drugi raz zanurzało się w morzu, a bałwany jak kaskady na nas wpały. Wiatr ku brzegom, a bałwany od brzegów czołno odpychały, tak dalece, że w końcu nieprzybiwszy do lą-

du — trzech majtków silnych, każdy jednego z nas wia-
wszy na barki, przypłynęli z nami do miasta Manfredonii.

Tam w oberży przenocowawszy, już do okrętu niewró-
ciliśmy — ale wynająłem dwa powozy o dwóch kółkach,
jak nasza bięda, Corricolo zwane, puściliśmy się niemi w dal-
szą podróż po nad brzegiem morza małemi zaroślami, a że
tam ciągle kręcą się *Contrebandiers* czyli rozbójnicy morscy,
którzy napadają i rabują, przeto komendant fortecy Man-
fredonii dodał nam eskortę z dwóch żołnierzy, minę Zbi-
rów mających z długimi rusznicami, którzy pieszo około
nas szli. Ponieważ to i opóźniało naszą drogę i niebar-
dzo ufaliśmy odwadze naszej eskorty, przeto takową od-
prawiliśmy do domu, a sami opatrzeni w broń, ruszy-
liśmy dalej krajem zupełnie pustym nieznając drogi,
ani języka. Po nad brzegiem morza spotykaliśmy szałas
z chrustów w małej odległości jeden od drugiego, z któ-
rych po jednym pokazywali się ubogo ubrani opaleni od
słońca mieszkańcy — byli to jak nam powiadał woźnica
rybacy — ale widząc nas kilku i uzbrojonych, każdy stał
przy swoim szałasie, obawiając się przybliżyć. Gdy noc
nadchodziła ujrzelśmy ogromny dom murowany nad sa-
mém morzem, wśród krzaków oliwnych. Wszedłszy, je-
dnę tylko starą babę zastaliśmy, a niemogąc się z nią
w żaden sposób rozmówić, bo język ludu neapoli-
tańskiego jest daleko różny od włoskiego, tedy zapiaw-
szy jak kogut, ta nam dopiero starą kurę przyniosła, któ-
rą upiekłszy, z oliwą zamiast masła zjedliśmy. — Bojąc
się napaści od rozbójników, obszedłszy dom cały i zata-
rasowawszy wszystkie miejsca, położyliśmy się spać, ja-
koż późno w noc zaczęto się dobywać do wrót, kobieta
chciała wyjść, lecz Broniec skoczywszy z pościeli, od-

prowadził i kazał jej się położyć, drzwi zaś zamknął, aby niewyszła; przez pół godziny dobywali się jeszcze do nas, nareszcie wszystko ucichło i my spokojnie do rana dośpali. Nazajutrz skoro świt puściliśmy się w drogę, przejeżdżając przez Bar sławne mieszkaniem królowej wdowy Bony, Bartella, i inne małe mizerne miasteczka.

Po czterdziestodniowej takiej podróży, przybyliśmy na koniec do Brundusium portu neapolitańskiego sławne mieszkaniem Cycerona, skąd listy swoje pisywał, dokąd okręt przypłynął — i znowu złączyliśmy się z naszymi towarzyszami, tam parę dni odpocząwszy, popłynęliśmy do wyspy Korfu, gdzie posła z sekretarzem ambasady Skrzetuskim czekających na nas zastaliśmy. Poseł dla lepszej wygody wynajął okręt wojenny wenecki o 72 armatach, ponieważ i bezpieczniejszy i nie tak kołysaniu podlega, jak kupiecki. Po kilkudniowym odpoczynku, w którym rzeczy ekwipażu do nowego okrętu przenoszone były, nasi sternicy rozpuścili żagle, morze było spokojne, pogoda piękna, płynęliśmy około wysp Cefalonia, Zante St. Maura, gdzie nam pokazywano ową skałę Leukaetę, przez którą ciaśninę dziś okręty przechodzą, dalej trochę widać było jak skałę, Itakę.

W czasie tej podróży po opuszczeniu Korfu, służący jeden chorując umarł, ten podług obrządków morskich zaszyty w wór piaskiem napełniony wrzucony był w morze. Nikt nie ma więcej przesądów i zabobonów jak marynarze, zaraz oni zaczęli z tego wnosić, że to jest zła wróżba, jakoż ledwie kilka mil odpłynęliśmy od tego miejsca, kiedy wiatr przeciwny powstał, i przymusił nas wrócić do Korfu, my młodzi bynajmniej o to się nie gniewali, bo w tém mieście była opera dosyć dobra, na

którąśmy codziennie chodzili. Jednakże to rzecz dziwna, iż trzy razy odpływając wracaliśmy do portu, bo ilekroć zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie wór z umarłym był wrzucony, wiatr natychmiast powstawał i na odwrót nas pędził, a majtkowie wołali, że widzą jak wór na powierzchni się pokazuje, tak jak ciało tego nieszczęśliwego Carraccioli przy flocie Nelsona. Za czwartą dopiero razą przebyliśmy to miejsce i bez żadnego już wypadku, zawijając do portu greckiego Patras, gdzie na nas oczekiwał od Porty wysłany urzędnik tytuł Michmandara mający. A że dalszą podróż lądem mieliśmy odbyć, więc zatrzymaliśmy się dni kilka dla sprowadzenia wielbłądów pod juki i koni pod jazdę, reszta zaś świty i bagażów, okrętem prosto do Konstantynopola popłynęła. Pokazywano mi kapliczkę małą gdzie S. Andrzej był umęczony; mieszkałem w domku małym, porządnym, przy którym był ogród pełen drzew cytrynowych i pomarańczowych tak obficie rosnących jak u nas gruszki i jabłka, początkowo zjadłem kilkanaście sztuk owoców, z tych dostałem gorączki mocnej, która mnie przez dzień w łóżku trzymała, potem byłem już ostrożniejszym. Ruszyliśmy na koniec jak jaka karawana, albowiem wielbłądów kilkadziesiąt, konnych do stu, i eskorta turecka składały ten orszak. Jechaliśmy z Patras górami okropnymi po nad Olimp śniegiem okryty, przez Epir, Macedonią, Tessalią, Liwadyą. Ta ostatnia prowincya była pod zarządkiem opłaceniu pewnego haraczu sułtanowi a zamieszkała przez bandę rozbójników, którzy na przejeżdżających napadali i rozbijali, przeto dla bezpieczeństwa sułtan wydał firman, czyli gatunek paszportu, który święcie był szanowany.

I tak naprzeciw nas wyjechał sam naczelnik tej bandy, bogato po albańsku ubrany, na bardzo pięknym białym koniu, którego grzywa i ogon wstążkami przeplatany, pomarańczowo były umalowane; otaczało go dwóch synów i kilkudziesiąt towarzyszków, którzy gonitwy na koniach, rzucanie dziridów z wielką zręcznością wykonywali. Naczelnik było Albańczyk bardzo przystojny, około lat 40 mający, nosił na szyi zawieszoną srebrną świstaczkę, na której jak tylko się odezwał, natychmiast pokazywali się na górach z janczarkami jego ludzie, a za kiwnięciem ręki zaraz chowali się, wymieniał i wskazywał nam wsie i miasteczka od których kontrybucye wybierał, i przez pięć mil jego panowania a zarazem podległego mu kraju nas prowadził. W końcu pożegnał najgrzeczniej i w momencie skręciwszy konia, cała jego banda w lasy i góry się rozproszyła a my wydziwić się nie mogli, że dzień cały w towarzystwie łotrów uprzejmych znajdowaliśmy się, którzy postrachem dla całej okolicy byli. Podróż nasza od Patras aż do Stambułu konno, górami i ścieżkami trwała tygodni sześć, albowiem powozem na żaden sposób tamtędy przebyćby nie można.

Po pięć mil na dzień ujeżdżaliśmy, a na pół drogi w miejscu odkrytem na płaszczyźnie jedliśmy śniadanie, było gatunek obozu, rozłożono ogień i parę potraw ciepłych zawsze mieliśmy. Michmander osobno na kobiercu z dwoma Turkami siadał i pilaw czyli ryż z baraniny przedziwnie sporządzony codziennie jadał, na który nas kolejno po jednym zapraszał. Przejeżdżaliśmy przez sławne w starożytności miasta jakoto: Spartę — Lacedemonę, zachowały one tylko swoje nazwiska, ale teraz ubogie wioski, domy z kamieni polnych na glinę stawiane.

Jeden Korynt niejako ślady starożytności posiada widać jeszcze ruiny w kolumnach zamku na wysokiej górze zapewne na Areopag poświęcone, na placu drewniany wielki bazar stoi, gdzie Turcy różnego gatunku owoce sprzedają, figi i rodzenki są tu najślawniejsze ze swjej wielkości i bardzo słodkie; odpoczywaliśmy w tém mieście dzień jeden, bo co trzeci dzień bywał raształ. O trzy mile były Ateny, dokąd chcieliśmy koniecznie zboczyć, ale Michmander prowadzący nas odmówił tego, mówiąc, że na marszrucie nie znajduje się to miejsce i że téj tylko drogi pilnować się musi, którą miał przepisana. Ile razy przejeżdżaliśmy przez jakie miasteczko, Turcy znakomitsi wyjeżdżali przeciw nam, gonitwy sposobem wojennym pokazując. Często Broniec także się z niemi ścigał, z czego oni byli bardzo kontenci, muzyka złożona z piszczałek i bębenków ze dzwonek raziła uszy, gdyż żadnej harmonii, tylko brzmiący hałas wydawała, podobny to effect robiło jak dzisiejszy odgłos muzyki, który porzuciwszy prostotę do serca mówiącego, harmonią na sztukę zamienił zakładając ją na zręczności i szybkości palców.

W końcu miesiąca stycznia wjechaliśmy do stolicy państwa Ottomańskiego, o godzinie 10 wieczór przez ciasne i źle wybrukowane ulice na przedmieście Pera, gdzie wszyscy posłowie zagraniczni i cudzoziemcy mieszkają. Noc ciemną oświecały tylko światła z okien osób ciekawych i czekających na nasz przyjazd tak licznym orszakiem otoczony.

Poseł z dworem swoim stanął w pałacu dla ambasadorów przeznaczonym. Legacya zaś cała, miała cztery domy w bliskości siebie dosyć obszerne, w jednym z nich

czterech nas, po kilka pokoi mając, mieściło się. Na obiad chodziliśmy do posła, kawę i kolacją każdy miał swoją. Wkrótce zabrałem znajomość z mieszkańcami, szczególnież na drugiem przedmieściu Galata zwanem, gdzie mieszkali sami Francuzi, kupcy bogaci i światli, mający swoje własne domy, którzy często mnie na smaczne obiady do siebie zapraszali — tam prawdziwie dopiero szczerą wesołość panowała, bo przy deserze, gdy służący powychodzili, wówczas mający głos piękny, śpiewki wesołe z powtarzaniem chóru śpiewali, najwięcej do kieliszka i swojej kochanki, nikt jednak miary picia nieprzebrał, bo każdemu wolno było pić o tyle, o ile chciał. Z nimi obcując, dopiero się w języku francuzkim wydoskonalilem, a skoro ci poznali mój łagodny i łatwy charakter, widząc, iż edukacya moja niebyła skończona, otworzyli mi swoje biblioteki i zachęcali do czytania. — Dzieł wszystkich klasyków francuzkich i pisarzy udzielali mi, a że nigdy niebyłem próżniakiem, i rano poświęcałem czas na czytanie, im więc winienem obeznanie się ze światem literackim i posiadaniem tego, co dziś mi nie jest obcém; resztę dnia przepędzałem na wizytach u ambasadorów i w domach prywatnych. Tam poznałem ambasadora francuzkiego, Le Comte Choiseuil Goufier, człowieka wysoko uczonego, który wydał „Voyage Pittoresque en Grèce“ z tablicami rycin. Miał on jedynego syna, który się później ożenił z Potocką córką Szczęsnego. Przy nim był za guwernera Maret, który potem tak wielki los zrobił, że został księciem Bassano.

Młody będąc rzuciłem się naprzód na kupno koni, a stryj mój marszałek przysłał mi 400 dukatów dla przeprowadzenia dla niego ogierów; jakoż kupiwszy ich cztery,

zaraz do spaceru używałem, które powszechnie na koniach w lektykach ciągnionych ustrojonemi w kwiaty wołmi lub w czółnach po kanale odbywały się; albowiem podówczas ekwipażów nie znano. Na lato wszyscy rozjeżdżali się na kampanie nad morzem leżące. Poseł nasz bliżej obrał sobie letnie mieszkanie z synami i sekretarzem Strzetuskim w Terapia. Ja z Brońcem dalsze i bardziej zaludnione obraliśmy Bujugdere nad morzem Czarném leżące o 2 mile od Stambułu, dokąd konno ponad samém morzem przejechać lub kanałem dopłynąć można. Jest tam obszerna łąka w bardzo piękném miejscu, gdzie wieczorem wszyscy przechadzają się, do niej także 1go maja co rok sułtan z całym dworem zjeżdża i wszyscy ambassadorowie. Namiot bogaty w którym sam tylko sułtan się znajduje, rozkładają i rozpoczynają się turnieje czyli gonitwy na koniach. Później sześciu szermierzy silnych, przepaskę tylko w połowie mających, których ciało świeci się od nasmarowania olejem, po dwóch pasują się chwytając za barki, nogami jeden drugiego trątuje, starając się obalić, póki nieprzewróci, potem nogę na grzbiecie zwyciężonego kładzie i druga para następuje; walka ta pospolicie trwa godzinę a sułtan pewną kwotę zwycięzcy dać każe. Nakoniec następuje strzelanie z sztucca do tarczy, sułtan pierwszy strzela i nigdy niechybia, potem rozdają sztucce wyższym dygnitarzom. Sorbety także roznoszą ale lulkę tylko sam sułtan pali, w ten dzień każdy z posłów prezenta składa, a cesarz odjeżdżając, pospółstwu z worka dużego, który tyfledar czyli podskarbi ma w ręku, rozsypuje pary, mały pieniądz srebrny trzy grosze nasze znaczący. Co niedziela miewaliśmy w różnych domach wieczory tańcujące, a w inne dnie gdy księżyc

świecił, z amatorów zbieraliśmy muzykę i ci kwarteta na członach po kanale wykonywali, otoczeni mnóstwem innych członów dla przysłuchania się grającym. Niewchodzę ja w opisywanie miejscowości, bo to tylu wojażujących z dokładnością wykonało. Nadmieniam tylko co mnie dotyczy, czego byłem świadkiem i jak czas przepędzałem. Są jeszcze w Konstantynopolu przepysne zakłady kąpieli parowych, których kilka razy używając, dla tego je opiszę. Jest ogromna sala z kilkunastu tarczanami, miękko wysłanymi. Ognisko wielkie gdzie się kawa gotuje i cybuchy są pozawieszane, w tej się zdejmują suknie i składają, okrywają człowieka opończą, dają wysokie dwa koturny, w które się wkładają nogi. Dwóch Turków pod pachę wzięwszy prowadzą do pokoju ogrzanego, dalej do drugiego cieplejszego, aż nakoniec do siódmego gabinetu, gdzie nie niewidać oprócz pary, tam sadowią i wszystkie członki ciała naginają, szczotkami nacierają, nareszcie pachnięciami maściami i włósiennicą; dłużej nad kwadrans być tam nie można, tym samym sposobem odprowadzają aż do owjej pierwszej wielkiej sali, gdzie okrytym kocami przez ten czas podają lulki i kawę; płaci się za to wszystko lewa czyli piastra co wynosi na naszą monetę cztery złote, ale człowiek gdy wyjdzie na powietrze, czuje się tak lekkim, tak zdrowym, jakby się na nowo narodził.

Gdy nadchodzi karnawał i Turcy lubią się bawić, lecz ich zabawy są zawsze poważne; jest wiele kawiarni, tam się zgromadzają, w środku stoi naczynie obszerne, na którym są rozrzucone węgle i kawa się gotuje. Turcy na sofach w milczeniu siedzą i palą fajki, przychodzi ubogi Turek, siada przy ognisku i zaczyna opowiadać historią;

w połowie najciekawszej, przerywa, wstaje i z miseczką obchodzi słuchających a każdy mu daje para czyli trzy grosze, znowu wraca do ogniska dalej opowiada i ukończywszy, drugie obchodzi kawiarnie. Przez dwa lata mieszkając nauczyłem się tyle języka, że mogłem prostą rozmowę zrozumieć, historyjki te są zupełnie w stylu jak tysiąc i jedna nocy. Mają także w tych kawiarniach gatunek teatru. W końcu kawiarni za zakrytym dywanem, siedzi jeden Turek sam, a najwięcej z małym chłopcem i zaczyna różne głosy naśladować ptaków, szczekanie psa, co wszystko wchodzi w rozmowę, którą prowadzi niby z wielu osobami.

W czasie lata nad morzem jest wielka altanka kioskiem zwana, w niej odbywają się z posłami zagranicznymi raz w miesiąc lub dwa, konferencye i z Reis-Effendim czyli ministrem spraw zagranicznych; kilka razy na takowych konferencyach posła naszego byłem przytomny. Dają najprzód sorbety, potem kawę i lulki. Niemi usługują, poseł przedstawia depesze, jakie od swego dworu odebrał albo Reis Effendi desiderya Porty. Drugiego roku mego pobytu, wezwał Reis Effendi naszego posła na konferencyę. W dniu naznaczonym przybyliśmy o godzinie dziewiątej rano, i już czekającego ministra tureckiego zastaliśmy, po zwykłym częstowaniu zaczął Reis-Effendi mówić, tłumacze z obydwóch stron oddają mowę, ale uważałem rozumiejąc już trochę języka, że ile razy był wyraz czy z jednej strony czy z drugiej za ostry, Tłumacz wyraz ten modyfikował; i tak ostatni raz gdy byłem, Reis-Effendi zaczął mówić: mamy pewną wiadomość, że Rosya zamyśla wojnę nam wydać. Mój Pan proponuje traktat zaczepny i odporny. Uprzedźcie tę wojnę, która i

was wkrótce czeka, a koszta kampanii mój cesarz wszystkie bierze na siebie; wojsko wasze płacić będzie i flaga wasza zagwarantowana przez nas, powiewać będzie na morzach waszych i handel wolny otwarty, lecz decydujecie się prędko, bo ta sprawa zwłoki niecierpi. Poseł odpowiedział, że natychmiast wyszle kuryera z przedstawieniem królowi i stanom. Na to Reis - Effendi: pocóż posła ambasadatorów, kiedy im nieufa? — czy dla tego, żeby tylko figurowali, a my na próżno ich płacili? były jeszcze wzajemne i mniej znaczące dyskusye. Konferencya na niczém spełzła i my powrócili do domu. W parę tygodni przybiega nasz tłumacz Schabert do posła, zaklinając go, aby natychmiast jechał do Reis-Effendego i uprzedził posła pruskiego Knobelsdorfa, który pomiarkowawszy, że się jakieś układy robią, mogące szkodzić gabinetowi pruskiemu codziennie jeździ do Reis-Effendego i partykularne ma z nim narady. Wyszedł zaraz nasz poseł, ale gdy przybiła barka, którą bałwany rzucały, widząc morze w samej rzeczy więcej niż zwyczajnie wzburzone, strach był mocniejszy niż chęć i powinność, smutny i drżący wrócił do domu. W kilka dni dowiedzieliśmy się, że poseł pruski Knobelsdorf zawarł traktat zaczepny i odporny z Portą. Wkrótce zaraz odmówili naszemu posłowi płacenia pensyi, którą wszyscy ambasadorowie póki są czynni pobierają. Poseł więc nam oświadczył, że niedługo opuści Stambuł, zostawując do interesów handlowych konsula, już od lat kilkunastu tam mieszkającego, nazwiskiem Chrzanowskiego, wraz z jego sekretarzem Mikoszą. My zaś wszyscy, jako już niepotrzebni do okazałości wyjechaliśmy pierwej. Do tego naszego powrotu należeli dwaj synowie posła i ich guwer-

ner Polini. Ja prowadziłem sześć ogierów arabskich, turkomańskich przepysznej piękności, z których stryj mój cztery sobie wybrał za owe 400 dukatów, które mi przysłał, dwa mnie zostały, lecz w czasie rewolucyi Kościuszki przez kozaków były mi wzięte. Wracałem tedy tym samym koczem w Warszawie kupionym. Brońca już nie miałem w towarzystwie, bo był posłany kurjerem z depeszą o téj konferencyi. Obróciliśmy trakt na Adryanopol, drugą stolicę państwa tureckiego o mil 18cie odległą. A że Turcy podówczas nie mieli żadnego wyobrażenia o zaprzęgach, więc mój Sobestyan z postronków je zrobiwszy, sam czterema zbieranemi końmi powoził. Trzeciego dnia stanęliśmy w Adryanopolu — mieliśmy przytém dodanego urzędnika tureckiego, który aż do samej granicy miał nas odprowadzić — dzień jeden rasztagowaliśmy. Miasto to jest tak wielkie jak Stambuł, ulice ciasne, domy bez żadnego porządku stawiane. Pałac sułtana nakształt fortecy, murem wysokim opasany, do którego na lato czasem sułtan przyjeżdża; podówczas był zupełnie pusty. Stróż jeden miał od niego klucze — chcieliśmy widzieć mieszkanie kobiet zwane haremem, za opłatą i uproszeniem uzyskawszy wejście, obejrzelśmy, gmach podobny do klasztoru, zewnątrz brudny i czarny, drzwi do wchodu, jak do pokoju małe, kurytarze naokoło, pokoi po kilka razem na dole i na górze, sofy i zwierciadełka w każdym. Okna wysokie i duże z kratami żelaznemi, lecz szyby bardzo małe, jeden salon na dole, w koło sofy, a w środku marmurem wykładane płaskie wydrążenie (bassin), z którego wytryska fontanna. Ogród wysokim murem obwiedziony, pełno drzew i kwiatów; ścieszki proste i wązkie. Nazajutrz puściliśmy się

w dalszą drogę, a że już zaczęły się góry, bo przez Bałkany przeprowialiśmy się, więc zamiast koni dawano nam bawoły, przez co podróż musiała być koniecznie trudniejsza. Szumłą, Ruszczuk przebyliśmy — przy przeprowie Dunaju rozłączyliśmy się z synami posła. Ci się udali do Wiednia, a ja do Jass, stolicy Wołoszczyzny pojechałem. Miasto duże i brudne, jak wszystko tureckie. Tam prezentowałem się generałowi komenderującemu i gubernatorowi wojennemu. Bezborodko, który mnie z wysadną okazałością przyjął. Stali nieporuszeni jak statuy generałowie i wyżsi oficerowie. Sam wyszedł w bogatym złoto haftowanym zielonym szlafroku, na którym dziewięć gwiazd świeciło. Właśnie trafiłem na pogrzeb sławnego Potemkina — poszedłem widzieć dom, w którym złożone było jego ciało. Na wysoko wystawionym katafalku leżała mitra, kapelusz i szpada, w koło szesnaście taboretów stało, na których wstęgi i gwiazdy leżały. Siedemnasty taboret był w głowach wywyższony, na którym złocista świeciła się mitra. Oficerowie ze szpadą ku ziemi straż trzymali. Potem zaproszony byłem do hetmana Branickiego na obiad. Miasto to było bowiem miejscem narad Konfederacyi Targowickiej. Na tym obiedzie oboje Branicy rozmawiali ze mną, wystawiając, jak popęd rewolucyjny sejmu jest szkodliwy dla Polski, że wojna wkrótce rozpocznie się, a z nią upadek kraju. Sama Branicka odprowadziwszy mnie do okna, zaczęła wystawiać ile Polacy stracili na śmierci jej wuja Potemkina, który miał bardzo pomyślne dla nas zamysły.

W Mohilewie przebyłem Dniestr odgraniczający Polskę od Turcyi. Przyjechawszy do Warszawy, zaledwie rzeczy moje do pałacu zniesione zostały, kiedy mnóstwo ka-

ret, a nawet z damami zajechało przed moją stancyą; rozumiałyby kto, że to skwapliwa wizyta widzenia mnie; a to był rabunek na tytoń turecki, którego miałem wór znaczny, i ledwie dziesięć funtów dla siebie ochroniłem. Nazajutrz król przysłał pазia, abym był u niego o jedenastej godzinie, przeto stawiszy się na oznaczony czas, rozmawiałem dość długo, oświadczywszy, że widziałem zgromadzone korpusy wojska, które głośno mówiły o pochodzie do Polski, jakoż król dopiero odemnie się dowiedział o tych przygotowaniach, co dowodzi, jak Polacy zawsze spokojni nic niewiedzieli, co się dzieje o miedzę, i żadnych ostrożności nieprzedsiębrali. Później nagradzając król, że m tę całą misyą odbył o swoim koszcie, dał mi order ś. Stanisława. Muszę tu nadmienić, że w czasie tej podróży, która lat trzy trwała, pomimo wydatków na kosztowne utrzymanie się i kupno ogierów, albowiem jeden Anatolski na miejscu kosztował dwieście dukatów, jednakże żadnego długu niezaciągnąłem, że zaś żadnej oddzielnej własności nie miałem, przeto ten cały wóaż odbyłem kosztem matki za sześć tysięcy dukatów.

Sejm się dalej kontynuował, ja wróciłem do matki, a że mil siedm od niej mieszkał jój brat a mój wuj kasztelan Męcński w Żarkach, tedy tam poznałem żonę moją Stadnicką, córkę starosty Ostrzeszowskiego.

Od pierwszego widzenia pokochałem się, lecz o układach inierczy ani słyszeć nie chciałem, z miłości ożeniłem się, Bóg poświęcił ten związek, bo pięćdziesiąt lat pożycia, uświęciłem powtórny ślubem małżeńskim. Powróciwszy z Warszawy na wieś, zastałem sejmiki powiatowe, na których mnie nieobecnego obrali sędzią ziemiańskim, i przez sześć miesięcy ten urząd sprawowa-

łem w Chętnach, pod prezydencją podczaszego Dobieckiego, i kolegów Malczewskiego, Rakowskiego, Gosławskiego. — Po weselu odbytém w Krakowie, pojechaliśmy do Dukli, do ojca żony mojej. Wśród obchodów radosnych i zabaw ciągłych, jakie z okazji pobrania się naszego dawane były, odbieram kuryera z Warszawy z ekspedycją, donoszącą o powstaniu, i nakazującą mi pod utratą obywatelstwa wracać bez straty czasu do kraju, i w Kielcach odebrać instrukcją przeznaczenia mego. Chciało mnie koniecznie zatrzymać, przewidując smutny i niepodobny koniec tego powstania, ale ja wśród krzyku sprzeciwiających się memu wyjazdowi, musiałem dopełnić wyższego rozkazu. Żonę więc zostawiwszy przy ojcu, w samym zapale miłości, bo w czwartym miesiącu pobrania się naszego, porzuciłem Duklę. — Już kozaki po całym kraju pokazywali się i napadali, przeto pomimo największej ostrożności przemykając się nocą, w lesie koło ś. Katarzyny strzelono do mojej bryczki; szybkości tylko koni winienem, że szczęśliwie uniknąłem wypadku, stanąwszy tego dnia jeszcze w Kielcach, gdzie zastałem nominacją na jeneralnego Ordonatora armii, z rozkazem udania się do Sandomierza, i tam urzędowania, albowiem już Krakowskie było pełne obcego wojska. Po sześciu tygodniach bawienia w Sandomierzu, co dzień fałszywemi wieściami straszony, jednego poranku strzały słyszę z pistoletów, wpada tedy wybladły mój służący, wołając: Kozaki na rynku! W mieście niebyło żadnego wojska, tylko straż municypalna z żydów i katolików złożona, a mieszkając we dworku za miastem niedaleko Wisły i mając parę koni zawsze na wszelki przypadek gotowych, korzystałem z czasu kiedy kozaki zatrudnieni byli rabun-

kiem domów, albowiem kazawszy zaprządz bryczkę, wyjechałem tyłami ogrodu do promu, który w pogotowiu na każde moje zawołanie oczekiwał i tym przypłynąłem do Chwałowic komory austriackiej.

Tam przeprawiwszy się, pojechałem do Baranowa nad Wisłą, gdzie zastałem już moją żonę niepokojącą się o mnie, która obrała mieszkanie w domku drewnianym, bez posadzki, a w miejscu drzwi dywanami osłonionym, gdyż innego nie było, chcąc mieć bliższą sposobność wiedzenia co się ze mną dzieje. Matka moja tu także odwieziona z Włoszczowy mieszkania swego, które kozaki spalili, pałac zrabowali, tak, że ledwie wśród dymu tylnymi drzwiami słysząc krzyk i strzelanie uciekła piechotą z kapelanem, jedną dziewczyną i służącym, którego kozak doścignąwszy, w oczach matki mojej dzidą przebił. Matka moja widząc go umierającego zostawiła księdza do oddania ostatniej usługi religijnej, sama zaś przez bagna, z jedną służącą dostała się do lasu, gdzie noc wśród trwogi i zimna przebyła, a nazajutrz prawie boso, bo trzewiki w błocie potraciwszy do wioski przybyła państwa Fajglów bliskich dzierżawców, przez których po małym odpoczynku do nas odwiezioną została. — Widok matki, żony, chociaż w tak smutnym stanie, osłodził wszystkie cierpienia moje, bo byłem z niemi, i mogłem o obu mieć staranie. O mil kilka od Baranowa w Przecławiu mieszkali państwo Rejowie. Sama Stadnicka z domu, siostra rejentowej Badeniowej dowiedziawszy się o naszym pobycie, przyjechała, a widząc tak biedne nasze schronienie, ofiarowała z wszelką uprzejmością na mieszkanie pałac murowany stary, w drugim swych dóbr folwarku Rzemieniu. Przyjawszy tę tak miłą grzeczność, przenieśliśmy się wkrótce, i

wygodnie pomieścili. W tym czasie brat mój z żoną i Antonim Rostworowskim lat dziesięć mającym, przybyli także i powiększyli nasze towarzystwo. Dochodów żadnych nie pobierałem, z jednego tylko procentu $\frac{10}{100}$ od posagu żony mojej, dom tak liczny utrzymywałem, a pomimo największej oszczędności często byłem w obawie, czém potrzeby opędzę. Sprzedaż kilku koni w Dąbrowie na jarmarku zasiła chwilowo nasz worek, a będąc od dzieciństwa nieśmiały, wstydziłem się pożyczać. Nadzieja, jaką pokładałem w pobraniu całorocznej intraty gdy wrócę do domu, także mnie omyliła, albowiem jakież było moje zadziwienie, kiedy mimo że żadnej gotowizny nie zastałem, jeszcze mi $\frac{30}{100}$ długu na kontrybucye i koszta wojenne zaciągniętego, do zapłacenia wskazali. Mieszkałszy więc familijnie kilka miesięcy, aż nakoniec po dziewięciu miesiącach emigracyi, rewolucya nasza skończyła się ostatnim rozbiorem kraju; wojska obce weszły i każdy z nas do swego zniszczonego majątku wrócił. Brat mój dostał się pod panowanie rosyjskie, ja pod austryackie, Pilićka nas o siedem mil przedzielała, jednakże trudność paszportów niepozwałała nam się często widywać; gdy zaś chciałem brata mego widzieć, przyjeżdżałem do mostu, i tak przez parę godzin z nim rozmawiać mogłem.“

Autor tych pamiętników niezostawiwszy obszerniejszych zapisków o legionach, o wejściu wojsk francuzkich, o utworzeniu Księstwa Warszawskiego przez Napoleona, w ogólnych tylko wyrazach maluje te pamiętne w dziejach narodu chwile, jakby chciał dać do zrozumienia, że zajęty szczęściem domowém, spokojny co do powszechnego dobra, niedoznawał żadnych gwałtownych wstrząśnień, ani przygód kłójących spokojność obywatela.

W szczęściu prędko zbiegają miesiące i lata, dla tego też przeciąg lat kilkunastu od Kościuszkowskiego powstania, aż do wyprawy 1812 r. zlekką tylko dotknął, i dopiero osobne poświęcił karty opisujące swój zawód wojskowy, kampanię rossyjską i pobyt w niewoli. Ustęp ten mieszczący ciekawe obrazy z owój pamiętnej wojny olbrzymów, tak zaczyna.

III.

Kampania 1812 r.

„Pamiętacie zapewne kochane dzieci moje, że dzień 26 maja 1812 r., był dniem rozstania się mego z wami. Ru-
szyłem z pułkiem moim z Warszawy około 11tej zrana, powiedziano mi później, że szanowna matka wasza udaw-
szy się z wami do kościoła S. Krzyża, przechodząc wi-
działa mnie maszerującego. Dobrze się stało, że oczy
moje nie były w tamtą stronę zwrócone! Widok ten, od-
jąłby mi resztę sił, nie byłbym był w stanie oderwać się
od was! Niechaj kto inny chełpi się i nazywa tęgością
duszy, obojętność na wszystkie związki tak drogie. Sła-
bość moją wyznając, nie wstydzę się otwarcie powiedzieć,
że najszcześliwszy w domowym pożyciu, zachowywałem
najsłodsze uczucia dla żony, dzieląc je pomiędzy was ko-
chane dzieci i domowników, którzy mi przyjaźń swoją
okazywali, potrzeba było gwałt sobie samemu uczynić,
przyłumić głos odzywającej się natury, aby to wszystko
poświęcić. Tak jest, nadzieja pięknej przyszłości, chęć
dzielenia sławy współziomków moich, myśl że poświę-
cenie się moje służyć wam będzie za przykład, prze-
mogła nad wszystkim; zerwałem że tak rzekę ogniwo
szczęścia mego i duch żołnierski przeniknął mię do głębi.
Nieoswojony w tém rzemiośle, odbierając przeciwne wra-
żenia mym zasadom, z doświadczenia wyznam, że wy-

rzec się trzeba czułości i litości, trzeba mieć zatwardzia-
łe serce, lub zimny temperament aby być wielbicielem
stanu tego. Widziałem popełniane z zimną krwią najwięk-
sze excessa; napady na domy, tratowanie i niszczenie
ziarna, zabieranie bydła, dobytku, wykurzanie ulów, wy-
pędzanie ludzi z ich własnych siedzib, wsie i miasta w po-
piołach; padających od głodu tysiące żołnierzy, zawałone
drogi zdechłemi końmi i bydłem; wołających rannych o
pomoc, której im dać niemożna było; omdlałych z głodu
i wyniszczonych od trudu, przemarznięte członki odpa-
dające od ciała, leżących na ziemi i ledwie zrozumiałym
głosem żęczących litości, aby trochę napoju lub po-
karmu przedłużyło chwilę ich życie, gdy tymczasem jego
współrodak i towarzysz przechodząc około niego, zdejmował
żyjącemu jeszcze obuwie i odzież aby podobnemu
sam niepodpadł losowi, lub odwlekł swoje przeznaczenie.
Ten to jest w krótkości słaby rys okropności wojny.

Jedenastu narodów zebrana massa wojska, przeszło
400,000 wynosząca, składała armią naszą. Wojsko nie-
przyjacielskie wzięwszy plan cofania się przed nami,
wszystko paliło na trakcie przez któryśmy iść mieli. Przy-
muszano mieszkańców do opuszczenia swych siedlisk tak
dalece, że skorośmy tylko Niemen przebyli, ani maga-
zynów żywności, ani furażów dla koni nieznaleźliśmy.
Niedostatek ten nagle dał się uczuć. Studnie zawałono;
nie pozostało nam jak wody ze stawów lub kałuż do na-
poju i gotowania używać. Przymuszeni byliśmy na poblis-
kie wioski małe posyłać oddziały; które zastając puste
chaty i dwory, niszczyły i zabierały co znaleźli. Potrzeba
ta rozwolniła karność żołnierza; byłem tak szczęśliwy,
że w początku dwa domy dworskie uratowałem od ra-

bunku, serce moje czuło pociechę z dobrego postępku. Cieszyłem się że był w stanie wstrzymać najrozpasańszych z całej armii Westfalczyków; gdy później sam niemając czém żywić koni i ludzi, nie tylko tolerowałem podobne grabieże, ale własnych mych ludzi zarażonych przykładem powszechnego rozpuszczenia, wstrzymać niemógłem. Tém tylko różnili się od drugich, i to na ich usprawiedliwienie dodać muszę, że do żadnych podpałań,niszczeń sprzętów nienależeli, że się brzydźili postępowaniem swawolnego żołnierza, i że prócz rzeczy do żywności potrzebnych, nic więcej niewynosili.

Postępował nasz korpus pod rozkazami generała Latour-Maubourg w takim nieładzie, chociaż on sam naczelnie komenderujący, brzydzący się wszelką niesprawiedliwością, mający przydomek słusznie sobie nadany od Hiszpanów, cechujący najlepiej jego charakter, *Général sans peur et sans reproche*; wydawał najsurowsze rozkazy, aby krzywdy mieszkańcom nierobić. Nie było można zapobiedz złemu. Niszczyliśmy sami duch patriotyzmu. Obywatel bojąc się zemsty uchodzącego nieprzyjaciela, a przytém niewidząc żadnej różnicy w postępowaniu tych co mu egzystencją polityczną i swobodę obiecywali, uchodził przed nami, unikał spotkania naszego, tak dalece, żeśmy przez wsie, jak przez dzikie stopy przechodzili, istoty żyjącej niewidząc. Pogłoski gwałtów, których dopuszczaliśmy się, poprzedzały nasz przechód; bojaźń, opinia niechętnych, powiększała okropność rzeczy samój, wystawiono nas gorzej jeszcze niż byliśmy podówczas, tak dalece, że przeszedłszy Dniepr, mieszkańcy wynosili sprzęty, uprowadzali żywność, dobytki, uchodzili do lasów, szukali puszczeń głębokich, gdzie z bronią przeciw nam się okopywali. Głód, który

coraz więcej dał się czuć, odkrywał nam ich schronienia. Skoro wojsko równo zę dniem wyruszyło, upatrywaliśmy w polach wzgórek jaki, z któregooby odległe okolice można było widzieć; tam generał komenderujący pospieszał galopem, a stanąwszy, za pomocą perspektywy upatrywał dym wzoszący się nad lasami, i tam kilkadziesiąt żołnierza z oficerem wysyłał, aby schronionych wysledzić, i przechowaną żywność porwać. Takowe oddziały z nabitą bronią prochem, aby tylko odstraszyć, szły we wskazanym kierunku. A skoro odgłos strzału usłyszano uciekali mężowie w głąb puszczy, wychodziły naprzeciw żołnierza, niemające tyle sił, zatrwożone matki u piersi swoich trzymające dzieci, wołając: niezabijajcie nas! oto o kilkanaście kroków zastaniecie żywność naszą. Ale podobne transporta trzeba było o mil kilka za regimentem prowadzić, wozy więc, bydło i konie zabierane zostały, a tym sposobem właściciel, z reszty, którą spodziewał się ocalić ogołoconym bywał. Podobne komendy za żywnością, i gwałtowne marsze, które robiliśmy dla złączenia się z wielką armią wyniszczyły tak korpusy nasze, iż gdyśmy z nią się zesзли, i stanęli na jednej linii, każdy regiment o połowę ludzi i koni zmniejszony został. Maszerowaliśmy po 11 mil na dzień, noc nawet niebyła spoczynkiem, 36 godzin trzeba było być ciągle na koniu. Trzy miesiące byliśmy w takich trudach niemając ani razu do czynienia z nieprzyjacielem, aż na koniec dnia 6go września stanęliśmy w nocy w lasku pod Mozajkiem, a rozkaz dzienny Cesarza zapowiadający nam jutrzejszą bitwę przekonał nas, że jesteśmy złączeni z wielką armią. W jednej minucie jak iskra elektryczna zapal powszechny ogarnął, i przejął każdego żołnierza; zapomnieliśmy o biedzie, a chęć

pokazania się godnymi pochwały pierwszego Bohatyra świata, i walczenia w oczach jego, podwajała męztwo i powiększała niecierpliwość w oczekiwaniu bitwy. Jeszcze noc zakrywała w trzech częściach horyzont, w czwartej blade tylko światło wskazywało wschodzić mającą jutrzeńkę, kiedy generałowie już do brygad swoich wydawali rozkazy, odgłos trąby niebudził jak zwykle żołnierza; pułki w największém milczeniu zebrały się, i stanęły na miejscu przeznaczoném. Równy ze dniem ruszył nasz korpus z pięciu pułków kirasierów, pięciu hułańskich polskich i 24 armat; na czele mając dowódcę swego generała Lattour-Maubourg; przechodziliśmy koło całej linii jazdy ciężkiej złożonej z regimentów różnych narodów. Powszechne w szeregach odgłosy, pochwał postawy naszej i dobrego porządku, dodawały ochoty i wesołej miny. Stanęliśmy na prawém skrzydle kirysyerów francuzkich. Wkrótce potem nadjechał król neapolitański całą kawaleryą komenderującą, przebiegał otwarte szeregi, odbierał od dowódców pułków raporta ich siły. — Ja miałem podówczas do boju 365 ludzi, a wyszedłem w 456. Konie odpsute, które jeszcze wytrzymały fatywę i ludzi słabych zostawując po drodze. Później depot z tych ludzi, i koni w Mohilewie uformowane zostało. Po odbytej naocznej lustracyi ruszyło prawe skrzydło jazdy naszej. Zaledwie weszliśmy w wąwóz, którego dwie góry najeżone armatami nieprzyjacielskimi broniły; kiedy huk dział ogłosił nam zaczęcie bitwy. Miejsce tak było wązkie, że kolumna nasza szóstkami maszerowała tylko. Krzyżowy ogień łamał nam szeregi, tak, że naczelne szóstki razem od jednego wystrzału padając, drugie na oczywistą śmierć następowały, bez zatrzymania kroku. Tam na czele szwa-

dronu swego zginął mężny Jabłoński, jeden z najlepszych instruktorów jazdy. Kula działowa konia i jego w pół uderzyła. Żyjąc ze mną w przyjaźni i pokładając we mnie ufność, gdy padał o kroków kilkanaście odemnie: wołał mnie po imieniu przeraźliwym głosem, abym go nieodstępował. Powinność kazała zamilczeć litości, posłałem chirurga aby go opatrzył. Kazano nam kłusem miejsce to przebyć, dałem znak trębaczowi przy mnie jadącemu, aby odtrąbił apel: zaledwie trąbę do ust przyłożył, kiedy kula urywa mu rękę i zabija konia. Już potem nie dawałem uwagi na padających żołnierzy. Kłusem dobrym w pół godziny wśród takiego ognia, przebiegliśmy wązow, z którego wyszedłszy, uformowaliśmy front, i cała jazda uszykowała się na rozciągłej równinie mając jedną baterią nieprzyjacielską na wysokości górze naprzeciw siebie, a dwie podobnie z prawego i lewego boku. Tam dopiero prawdziwa zaczęła się walka. Ośmset paszcz spiżowych wyziewało z obudwóch stron piekielny ogień, śmierć i zniszczenie na wszystkie strony niosąc. Stała jazda nasza nieporuszenie nic niedziałając przez ośm godzin pod najtęższym kartaczowym ogniem. Świstanie kul było podobne do jesiennego ciągłego wiatru, a nieprzerwany huk armat, do nawałnicy w czasie wielkich upałów połączonej łoskotem grzmotów i piorunów.

Wśród takiej okropnej pozycji, żołnierz stał w największym milczeniu, najmniejszy nieporządek oznaczający trwogę lub nieufność, niewcisnął się. Z uszanowaniem pełnym uwielbienia patrzałem na tę spokojną postawę żołnierzy, w oczach moich słusznie imie bohaterów w ów moment nosić mogących. Dodać nawet trzeba, że żaden wódki w ten dzień niepił, a od dwóch dni nic niemie-

liśmy do pożywienia. W tém przyszedł rozkaz abyśmy redutę po prawej stronie atakowali. Ruszyliśmy stępo, aż pod samą górą, zaczął się atak, z prawej strony bateryi uderzyli Westfalczyki, nasza zaś brygada saska sam środek atakowała. Lecz rześisty ogień sypany z bateryi, tak uszczuplał brygadę kirasyerów westfalskich, że w największym nieporządku zepchnął już prawie na szczycie bateryi będącą naszą kolumnę i do cofnięcia aż na dół przymusił. Nie tracąc momentu generał saski Thilmann naszą brygadą komenderujący, szykuje nas pod górą wśród kartaczowego ognia, obchodzi z drugiej strony baterią, i w największym impecie konia, przebija się na szczyt i panem zostaje bateryi. Nadeszła piechota francuzka, my zaś w największym porządku zszedłszy, wolnym krokiem maszerowali do środkowej bateryi. Jeszcześmy o kroków 300 od niej oddaleni byli, kiedy przylatuje do mnie generał francuzki, służbę adjutanta przy Cesarzu czyniący, wołając na mnie: *Colonel au nom de l'Empereur charges à l'instant*: Odpowiedź moja była: *Vive l'Empereur! en avant!* i w mgnieniu oka bateria okryta była żołnierzem moim; rowy, które ją opasywały nie były żadną zawadą. Koń zdawał się dzielić zapał jeźdźca, dobywał się ostatnich, aby one z drugimi w zawody idąc, pierwszy przeskakiwał. Rów opasujący baterią był najmniej 4 łokcie szeroki. Konia miałem z Anglii sprowadzonego, siedemnastej miary, za którego zapłaciłem 330 czerwonych złotych. Ten w największym impecie przeskoczył ze mną rów; stanąłem pierwszy, i sam jeden na środku bateryi, Ancuta wachmistrz mając także tęgiego konia, tuż za mną nadbiegł, zastałem żołnierzy leżących twarzą do ziemi, drugich klęczących i wołających: my chrześcianie — par-

don. Drugą stroną generał Thilmann z dwoma regimentami saskimi wchodząc na tę samą baterią, gdy mnie jednego z wachmistrzem widział w pośród nieprzyjaciela, i że ta bateria już była wzięta odemnie, dobył manierki wiszącej na olstrach i nalawszy w kubek srebrny madery, wypił do mnie, mówiąc: Niech żyje Cesarz, niech żyje król saski pan mój, któremu zdam raport, że pułkownik przyczynił się do sławy wojska saskiego. Jakoż wskutku tego raportu odebrałem własnoręczny list króla saskiego z podziękowaniem i przytém przysłał mi krzyż wojskowy kawalerski. Tam pułk mój wziął przeszło 300 niewolnika, i jedną armatę zaprzęzoną, którą zaraz odesłałem do kwatery cesarskiej; było jeszcze cztery armat ale bez koni i tych uwieźć nie można było. Fosi zasłane były piechotą rosyjską, i tam chciałem bezbronnych od śmierci zachować, ale rozjuszony żołnierz niesłuchał głosu dowódcy, rąbał i żelazo swoje broczył w krwi nieprzyjacielskiej. Wyciągałem sam z rowów zatrwożonych, i bez przytomności leżących żołnierzy, i ze 40tu tym sposobem ocaliwszy, jako niewolników z kapralem i kilku ludźmi odesłałem. Trzecia jeszcze z lewego boku zostawała nam do zdobycia bateria. Tu karabinierowie francuzcy byli na czele kolumny, która się składała z 13tu regimentów ciężkiej kawaleryi, generał de France komenderował całym atakiem. Szliśmy że tak rzekę na wyścigi, aż nakoniec i ta w rękach naszych została. Pewnie od czwartej z wieczora, chociaż już byliśmy panami placu bitwy, staliśmy w porządku do boju na płaszczyźnie aż do 9tej w nocy. Nieprzyjaciel cofał się odstrzelując z ręcznej broni, i armat; a chociaż był rozproszony, góry z tyłu służyły mu za zasłonę, że w momencie uszykować się w porządku

był w stanie. Żeby wystawić okropność rzezi dnia tego: dość powiedzieć, że 33 generałów francuzkich zabitych lub rannych rachowano. W brygadzie saskiej z 3ch regimentów złożonej, w której ja byłem 50 oficerów, rannych lub zabitych. W moim regimencie żadnego niebyło oficera, któryby albo sam, albo koń jego nie był rannym. Ja dwa konie miałem pod sobą ranne jeden od kartacza, drugi od kuli karabinowej. Kirys mój trzy zagięcia miał od kuli. Mnie przeznaczenie chciało zachować. Zdaniem samych Rossyan dnia tego stracili oni 38,000 my zaś do 20,000 ludzi. Ale strata nasza była największa w oficerach. Jakże żołnierz nie ma być odważny, kiedy widzi zawsze przed sobą swego przełożonego. Wszakże ataki nasze były igraszką w porównaniu tego cośmy stać nie czynnie musieli, i idąc na baterye bardzo mało straciliśmy, najwięcej cierpiało się stojąc na linii. Generałowie francuzcy od lat 20 wojujący, i sam nawet Cesarz wyznał, że ani pod Jena, ani Austerlitz, ani Preys Eylau, ani nawet pod Wagram, ogień niebył tak długi i tak morderczy. Bitwa ta była tylko bitwą artyleryi i jazdy. Inne kolumny stały nieczynne w pozycyi. Nazajutrz to jest dzień 8go września staliśmy jeszcze na placu bitwy przez cztery godziny, nim w dalszy marsz ruszyliśmy. Wtedy widziałem całe pobojowisko zasłane trupami, czołgających się i resztę tchu wydających, od kilku dni jęczących rannych, którzy zeznali, iż martwych swych kolegów ciała za posiłek używali. Trzeba bowiem wiedzieć, iż batalia od dnia 5 się zaczęła a nasz korpus ją zakończył.

Nieprzyjaciel wciąż się już cofał, małe i nic nieznaczące utarczki między naszą przednią strażą, a nieprzyjacielską tylną strażą zachodziły; co moment mocne spo-

tykaliśmy pozycye przez Rosyan opuszczane, każdego dnia oczekując bitwy. Nareszcie dnia 14 stanęliśmy pod murami Moskwy, uszykowaliśmy się o pół mili do boju, oczekując lub spotkania się, lub deputacyi z miasta, jak pospolicie dziać się zwykło. Szanować należy poświęcenie się dla kraju i w przeciwniku; wżgardził on majątkiem, wolał go wydać na łaskę zwycięzcy niż z nim wchodzić w jakiegokolwiek układy. Jenerał Miłoradowicz naczelnie tym korpusem, za którymśmy szli, komendując, przysłał tylko oficera z uwiadomieniem, iż strzeląc przechodząc przez miasto nie będzie, o wzajemność z naszej strony prosząc, przytém aby domy rabunkowi niepodpadały, zastrzegając. Taka więc tylko umowa stanęła. Ruszył król neapolitański z korpusem 30-tysięcznym jazdy, czoło kolumny formowały polskie pułki; radość na twarzach żołnierza była powszechna, znał każdy, że bytność nasza była uczczeniem pamięci królewicza Władysława! Ale duch energii rosyjskiej okazał się wchodząc na przedmieście. Wszystkie okna i domy pozamykane, żadnej istoty żyjącej niewidzieliśmy. Maszerowaliśmy plutonami, zajmując całe ulice. Wszędzie panowało ponure milczenie. W tém wchodzimy na szeroki plac, na którym stał dom poprawy. Wypada wypuszczonych z więzienia zbrodniarzy Łuszcza pijana, i ta krzykiem przeraźliwym niby radość okazująca otoczyła nas. Dalej idąc koło arsenału, motłoch pijanego pospólstwa dał ognia do nas, z fuzyi czyli strzelby rozdanėj im przez rząd. Wystrzał jeden armatni uspokoił ich zapał, cisnęli broń, i pozwolono im się rozejść. Następowaliśmy tak za nieprzyjacielem, że go o kroków kilkanaście przed sobą widzieliśmy. Tu wam muszę anegdotę jedną przytoczyć. Król neapolitański,

który ze swiątą swoją zawsze był na przodzie, tak się zbliżył do kozaków, iż kilku z nim razem jechało. W tém oficer przypada kozacki: Najjaśniejszy panie, rzecze, nie zbliżaj się tak mocno, gdyż narażasz się na niebezpieczeństwo, oddział mój jest trochę napity, niemogę ręczyć, aby przypadkiem lub umyślnie do ciebie niestrzelił. — Dziękuję Wpanu za przestrogę, odpowie król, ale skąd Wpan wiesz kto ja jestem? Któżby cię nieznał, odpowie oficer kozacki, kiedy cię zawsze na przodzie między flankierami naszymi widzimy. Pochlebne i sprawiedliwe to wyznanie, tak ujęło króla, że się obrócił do otaczających go adjutantów, żądając zegarka, który wzięwszy, ofiarował go temu oficerowi kozackiemu, mówiąc: proszę przyjąć ten upominek od króla neapolitańskiego. Cztery godziny maszerowaliśmy przez miasto. To może dać wyobrażenie o jego rozciągłości. Gmachy rządowe przepyszne, pałace nową architekturą stawiane, teatr wielki z kolumnadą, to dało nam się widzieć w przechodzie, gdyż szliśmy tylko jedną ulicą. Wszakże domy i ulice niemają żadnej symetrii; mały dworek znajduje się przy okazałym gmachu. Wyszliśmy już nad wieczorem, i o milę od miasta rozłożyliśmy obóz. W nocy pokazał się pożar. Ten, jakeśmy się dowiedzieli, wszczął się od samych pozostałych mieszkańców złożonych z rozpuszczonego pospólstwa. Widok ten smutne nam wszystkim zrobił wrażenie. Wiadomo wam, jaki potem koniec nastąpił téj ogromnej stolicy państwa. Rabunek i zupełne jej zniszczenie, popioły i gruzy, ślady tylko miejsca, w którym to miasto stało, zostawiły. Miasto mogące przynajmniej na 6 miesięcy wyżywić armią naszą, nie tylko, że nam wcale żywności niedostarczyło, ale głód zaraz

tak dalece dał nam się uczuć, że wyżsi nawet oficerowie mięsem końskim żyli, a zupą naszą była mąka razowa rozpuszczona w gorącej wodzie z solą. W takim więc już niedostatku szliśmy codziennie, nieprzyjaciel uchodząc, wsie przed nami zapalał, a jeśli na bok oddziały jakie za żywnością posyłałiśmy, te w większej liczbie przez kozaków napadane zabierane były. Tu stał się początek tej powszechnej zarazy w armii naszej włóczągów, czyli maroderów, każdy regiment trzecią część ludzi tracił, a wystrzymać od tego nikt nie był w stanie, bo każdy tłumaczył się, że idzie za żywnością. Z takiego to rodzaju ludzi składała się największa liczba niewolników naszych, gdyż w boju bardzo mało traciliśmy. Zapomniałem dodać, że w Moskwie 15000 niewolnika pozostałego znaleziono i zabrano. My nigdzie już żadnej znacznej akcji niemieliśmy, aż pod Wronowem dnia 29 września, gdzie przez 4ry godziny trwał karabinowy i armatni ogień. — Miasto to widać było dość wielkie, ale szliśmy po rozpalonych i tłących się jeszcze popiołach. Zamek przepyszny z ogrodem, za mieszkanie panującemu służyć mogący, w perzynę obrócony, jedna tylko brama z tym napisem pozostała: *Moi, comte Rostopczyn propriétaire du lieu a été le premier pour prendre le brandon, et allumer ma maison afin qu'aucun français ne souille pas ma demeure par sa présence.* — Niechęć ta do nas tak była powszechna, że gdy raz w jednej wiosce na noclegu zastaliśmy kilku chłopców i jedną starą babę od 50 do 60 lat mającą, Jenerał nasz saski stojąc u niój kwaterą, chciał dać bieliznę swoją do wyprania, dobył pieniędzy, dając poznać, że jój chce zapłacić. Możesz mi głowę ściąć rzeka, życie moje jest w twoim ręku, ale ani twoich pie-

niędzy niechęć, ani usługi żadnemu Francuzowi nie zrobię. Nie było już znaczniejszej akcji aż pod Czerniszną na drodze do Kaługi dnia 4go października. Tam ogień o godzinie 3ej z południa się zaczął. Nieprzyjaciel był w większej sile i w stanowisku mocnym. Broń ręczna i armaty ustawnie na nas biły. Szyszak mój dwa razy w dniu tym był przestrzelony od kuli karabinowej. Siedm razy kolumna kawaleryi naszej otoczona była z przeraźliwym wrzaskiem od kozaków; brygada nasza cofając się w szachownicę trzy razy na nich szarżowała, aż nakoniec noc ciemna obie strony do spoczynku przymusiła. My się cofnęli o pół mili od miejsca tego, i cała linia jazdy obóz swój rozłożyła, gdzie przez 14 dni obie armie były tylko w obserwacyi. Nieczynność ta robiła nam nadzieję pokoju, rozrzucano pogłoski, iż w Moskwie rozpoczęte negocjacye, a lubo przez te kilkanaście dni niebiliśmy się, traciliśmy codziennie ludzi i konie, to przez dalekie posyłanie za furazem, to przez zabieranie tych małych komend przez kozaków. Przyszedł nakoniec rozkaz Cesarza do powszechnej rejterady, dla wzięcia zimowych kwater. O godzinie 8 rano dnia 18 października mieliśmy ruszyć, gdy o 6tej uprzedzeni zostaliśmy od nieprzyjaciela i na wszystkich punktach tak silnie atakowani, iż każdy korpus przecięty został. Tam kilkanaście armat stracił generał Sebastiani, a trzy armaty korpus, którym książę Poniatowski komenderował. Punkt połączenia się i zebrania był wielki gościniec, ale znikąd niemogąc dostać przewodnika, noc też ciemna, spóźniała jego wyszukanie. Każdy korpus nasz oddzielnie działać, i bronić się musiał; generałowie nie mając żadnej komunikacyi, maszerowali tylko na domysł, wysyłając co moment za szuka-

niem szlaku. Aż nakoniec jasność dnia wskazała nam wielki gościniec, na którym uformowaliśmy front, czekając nadejścia drugich korpusów, i nieprzyjaciel za nami nie nacierał dalej. Przynoczyć tu winienem piękną akcją sierżanta pułku mego Aleksandra Rakowskiego syna podprefekta radomskiego. Był on przy eskorcie jenerała Latour Maubourg. Widząc, że wachmistrz mego pułku Żelowski otoczony przez kilkunastu kozaków, pchnięty kilka razy piką, w niewolą uprowadzony został, rzuca się ze trzema ochotnikami, rozpędza kupę kozaków, odbija wachmistrza podaje mu konia, i sam lekko w rękę ranny, powraca z nim do szeregu. Był natychmiast przedstawiony odemnie do krzyża polskiego, i do awansu na oficera. Codziennie potem rano byliśmy napadani przez kozaków, lecz ci pospolicie na bagaże i powózki z tyłu idące uderzali, i zawsze prawie coś ułowili; marszałek Davoust i Nej zakrywali swemi korpusami ariergardę wielkiej armii. To jednak nieprzeszkadzało żeby kozacy pomiędzy korpusy nasze się nieprzedzierali, i z boków nam się niepokazywali. Przyznać trzeba, że kozaki w tej kampanii największą usługę swemu krajowi robili. Z niemi prawie zawsze i z armatami mieliśmy do czynienia. A lubo żołnierz ten ani ataku niewytrzyma, ani nie natrze gdy mu front zrobisz; nikt jednakowo lepiej nad niego niezna wybiegów małej wojny; posiada talent flankierowania doskonale, i bez trąby na skinienie swego oficera zbiera się i rozsypuje. Zgoła znajomość wojny partyzanckiej doskonale posiada. Były potem większe ale równie mało znaczące w odwrocie naszym utarczki, pod Drogobużem, Medynem, Nowym Jarosławcem, gdzie się Cesarz francuzki tak blisko i niespodzianie zbliżył do korpusu 4-tysięcy kozaków, że

w momencie z krzykiem ich zwyczajnym napadniętym i otoczonym został, ale orszak dwóch szwadronów gwardyi cesarskiej, był dostatecznym do odparcia i przymuszenia ich do cofnięcia się. Regimenty nasze coraz bardziej osłabione, miały sobie powierzone konwoje artyleryi i bagażów. Mnie także oddano park 24 armat, które ze 40tą kiryssyerami cały moj regiment podówczas składającami eskortowałem. Pokazywali nam się ustawnie kozaki, ale blisko natrzeć nieśmieli. Aż nakoniec dnia 2go listopada o dwie mile pod Wiazmą, gdym ruszył przededniem z biwaku, idąc na czele kolumny, nagle zatrzymany zostałem przez uciekających, z krzykiem że kozaki z tyłu powózki zabierają. W momencie ze 300 ich lub więcej naokoło się pokazało, chcąc mi i drogę przeciąć, i całkiem zabrać. Eskorta moja była za mała, i na słabych koniach, ale bynajmniej przytomności ani czasu nie tracąc, rozkazuję majorowi memu, aby z tymi 40tu ludźmi formował ariergardę, i nic nie atakując, gdyby się zbliżali kozaki front tylko przeciw nim formował. Sam zaś dobywszy pałasza zaczynam się uganiać za uciekającymi maroderami, tą perswazyą, że każdy uciekający oddzielnie prędzej dopędzonym od kozaka, i zabitym zostanie, to nakoniec płazowaniem i postawą surową, zebrałem z 80 takich ochotników, to z karabinierów, to huzarów, to kiryssyerów, to piechoty; postawiłem ich na czele kolumny uformowawszy dwa plutony sam na przodzie pierwszego, drugiego komendę oddawszy kapralowi jednemu, który mi najwięcej dobrej miny pokazywał, 20 zaś z tego oddziału na boki rozesłałem aby się odstrzelowali. Wszystkie wozy i bagaże pomiędzy armaty uszykowałem. Dwie z nich z tyłu wyrzyczyć kazałem, i

ognia, tak dla postrachu, jako i dla odpędzenia nacierających kozaków, dawać zaleciłem. Komenda moja z różnych narodów złożona, była bardzo mała w proporcji nacierającego nieprzyjaciela, ale mówiąc do każdego żołnierza innym językiem, dodając im serca, taką w momencie zyskałem ufność, że jednomyślnie wykrzyknęli: *Vive notre commendant, nous lui obeirons tous!* Trwoga zamieniła się w wesołość, kozaki kręcili się koło nas, ale nieśmieli się zbliżyć; moi ochotnicy wysuwali się na przód, i chcieli do nich strzelać; ledwie ich od tego zapędu wstrzymałem, mówiąc iż raz dawszy ognia, niebędziemy mieli czasu się obronić. Postępowałem tak ze dwie godziny, ile razy z krzykiem nieprzyjaciel na nas zdawał się nacierać, wstrzymywałem kolumnę i mierzyć tylko do nich kazałem, ci zaraz w rozsypce uciekali. Zgoła żadnej armaty ani powózki niestraciłem, i byłem najbardziej kontent dnia tego, bo sam rozkazy wydawałem, kiedy indziej odbierając, wykonywałem one. Tak tedy powierzony sobie park aż do Smoleńska doprowadziłem, tam już inne względem artylerji nastąpiły rozporządzenia. Drogi przy spóźnionej porze zepsute, przytem ślizgawica taka, że konie nie kute padały, i ciągnąć armat niemożliwe; znowu takie błota, że równie ustawały; co było przyczyną, że w całej armii palono wozy, i amunicye, od tych odprzegając konie do armat; nareszcie i ten środek niewiele pomógł, dawaliśmy konie z pod kawaleryi, które osłabione, pod większym ciężarem, ustawały i upadały. Huk ten wysadzanych w powietrze wozów, okropne wrażenie robił. Sto czterdzieści mil kraju cofając się przez wioski i miasta w popiołach, i postać stepów mających, odejmowały nietylko sposobność żywienia się, ale nawet

kiedyśmy stanęli na noc, od słońca i wiatrów mroźnych, niebyło ochrony; wielkie szczęście kiedyśmy znaleźć mogli lasek. Na ziemi przy rozłożonym ogniu, chrust za materac służył. Z tego zimna nie mając rano nawet czym się zagrzać, wszyscy prawie na dysenteriją chorowali, mnie jakoś natura salwowała, że chociaż do największych wygod przyzwyczajony, nietylko żadnej niepodpadłem chorobie, ale więcej byłem w stanie wytrzymać od prostego żołnierza. To zahartowanie i moc ciała połączona z tęgością duszy, winienem kochane dzieci wstrzemięźliwości młodego wieku mego. Tak jest, nierobiąc żadnych zbyteków, nieznając chorób, które rozpusta sprowadza, krew moja była czysta i żadnych humorów, które albo umysł ociężałym czynią, albo ciało słabiej, nie przyjmowała.

Gdy cała już kawalerya nasza zdemontowaną została, wyszedł rozkaz, aby każdy regiment posłał co miał ludzi do generała Latour-Maubourg. Z tych szczątków uformował on korpus 2000 jazdy różnej broni, do której ja 15 moich posłałem, zostawiwszy jeszcze przy sobie dziesięciu. Rozgłobienie armii naszej nastąpiło zupełne, nieład powszechny tak się wcisnął, że żadnych do korpusów rozkazów nieprzesłano. Dodać trzeba, że postrach atakujących codzien i zabierających bagaże kozaków był tak wielki, iż każdy tylko o ocaleniu siebie myślał, nie ostrzegając drugiego. Czepialiśmy się tylko korpusów marszałków, skoro zaś usłyszeliśmy, że te wychodzą, powozami naszymi ruszaliśmy za nimi: mając jeden gościniec wielki, który nas prowadził. Jam zawsze się trzymał mego generała Tilmana, który także niemając już komendy, powozem jak wielu innych jechał. Tym sposo-

bem codziennie w obawie, i niepewności postępowaliśmy, niewiedząc nic o wypadkach armii, a co rano słysząc w tyle huk to z armat, to z wysadzonych amunicyj pochodzący. Przybyliśmy dnia 17 rano do miasteczka Dąbrowny nad Dnieprem o dwie mile tylko od Orszy leżącego, gdzie już obiecywano nam, że bezpieczniejsi będziemy. Ja szczególniej téj Orszy wyglądałem, niemając bowiem regimentu, i będąc zupełnie nieczynnym, miałem zyskać pozwolenie jechania do Warszawy, i pocztę, która już w owém miasteczku była, dla przyspieszenia drogi wziąć zamyslałem. Wszystkie rozkosze z powrotu mego wystawiałem sobie, gdy okryty chlubnemi zaszczyty pokazę się kochanej żonie, familii, przyjaciołom; przytém tworzyłem tysiączne projekta, aby się już od was nieoddalać, matki waszój na nowe niespokojności niewystawiać, wszystko to zajmowało mój umysł. Syty sławy, do której choć w części miałem prawo powiedzieć, że należę, bez widoków ambicyi, chciałem porzucić błyskotki honoru, aby prawdziwego szczęścia w domu używać. — Ale Opatrzność chciała zapewne doświadczyć cierpliwości i poddania się jój wyrokom — a oddalając metę szczęścia mego, w téj szkole nowój cierpienia, nauczać mię jak szanować spokojne, dalekie od zgiełku świata, ale istotne szczęście. Wracam się do tego co poprzedziło wzięcie moje w niewolę.

Dąbrownę przedziela Dniepr. Po lewój stronie rzeki był gościniec wielki prowadzący do Orszy przez miasto, po drugiej stronie rzeki przedmieście, a za rzeką kozacy, o których myśmy niewiedzieli, kręcili się, i maroderów lub błakających się chwyтали. W mieście cała armia i gwardye cesarskie ulokowały się, nas po drugiej stronie rzeki

na przedmieście poprowadził generał Tilmann, i w domach roztasować się kazał. Pamiętam, dnia tego był deszcz i zawierucha; pierwszy też raz mieliśmy porządne i wygodne mieszkania; ja stanąłem w karczmie u żyda, widok jego zdawał się dawną jaką znajomość przypominać, a izba pierwszy raz ciepła, i posiłek jakikolwiek, zupełnie mię szczęśliwym zrobiły. Wreszcie zabraliśmy się do spoczynku, gdy w tém koło godziny 4tej z rana przybiega oficer pułku mego, dając znać, iż w mieście po tamtej stronie rzeki kozaki wpadli, i że strzelanie z armat i ręcznej broni słychać; a że generał Tilmann i wszyscy już przedmieście opuścili. Zrywam się z posłania w momencie, powóz mój zachodzi gotowy, sam wsiadam na ostatniego konia, który mi z kampanii pozostał; pytam się o drogę, mówią mi, że już niebezpieczno wracać się przez miasto na wielki gościniec, ale żyd manowcami bliższą drogą ofiaruje się wyprowadzić na szlak do Orszy. Ruszamy więc, a wyprowadziwszy nas na małą drożynę, przewodnik nasz wrócił się, mówiąc, żebyśmy się jęj tylko trzymali. Noc była ciemna, zbliżamy się do wioski, wysyłam jednego na zwiady, jeżeli kogo w niej nie masz. Powraca, dając znać, że jest jakieś wojsko, że to być mogą kozacy, ale dla ciemności rozpoznać niemógł. Wracamy się nazad, ja chciałem się przerzynać przez miasto za armią na wielki gościniec, i byłbym najlepiej zrobił, ale jak to pospolicie bywa, każdy inną radę dawał, mówiąc, że już wracać się było niebezpieczno; uległem ich perswazyi, błąkamy się po polu jak rozpędzone owce; nareszcie skoro zadniało, pokazali nam się na około kozaki, i zaraz na nasze powózki uderzyli. Wtedy co sił tylko umykać na koniu ku miastu zacząłem,

odstąpiwszy drugich. Pałasz mój był jedyną obroną, miałem na sobie surdut, pod którym był mundur, a na wszystkim kozuch i czapka. Piętnastu kozaków ścigało mnie, krzycząc, abym się poddał, obejrzałem się i widząc dopędzającego jednego brodacza z piką, którą pleców moich dotykał, już chciałem mu się poddać, gdy w tém rów szeroki koń mój przeskoczył, a kozak podknąwszy się upadł i tylko strzelił za mną; ja zaś rozumiałem się już być uratowanym; gdy wjeżdżając do miasta przebiegł mi drogę oficer kozacki, i nacierając gwałtownie, zawołał: *kryczy pardon*. Złapawszy prawą ręką za jego pałasz, oświadczyłem mu, że się poddaję. Sam zsiadł z konia i to samo kazał zrobić; co uczyniwszy, gdy mu się rozpiął i pokazał mundur z krzyżami, mówiąc: takim jakim mnie Wpan widzisz, jestem pułkownik polski. Obaczywszy on szlify moje, chciał mi je odjąć. Nieupadlaj się Wpan tym czynem, rzekłem mu, są to znaki honoru, na który tak Wpan jak ja służę, dosyć dla niego sławy żeś mnie wziął w niewolę. Ta śmiała odpowiedź tak go uderzyła, że co pospolicie pieniądze, i wszystko co ma jeniec zabierają, mnie ocalało, nietylko, że niczego się nietknął, ale z największym był dla mnie uszanowaniem. Wsiedliśmy zaraz na konie, i do wioski owój, gdzie stali kozacy udaliśmy się. Tam zastałem bryczkę moją, w której leżał adjutant mój major Osoliński od akcji pod Mozajkiem słaby. Ten niebył tak szczęśliwy, jak ja: kozacy obdarli mu krzyże, szlify i kozuch mu już ściągali, gdyby nasza przytomność niebyła ich wstrzymała. Zastałem wszystkich służących moich obdartych, bryczkę kapitana Wołłowicza, która się mojej trzymała, zrabowaną; moja jeszcze nietkniętą była. Kazał dać rumu, i

z czarki kokowej, która była Osolińskiemu zabrana, częstował nas. Żądał odemnie zegarka, który dobywszy dałem, ale gdy ujrzał na mym palcu pierścień, chciał także abym mu go podarował. Był to pierścień od waszjej matki, zbyt drogi dla mnie upominek abym się mógł z nim rozłączyć. Tu znowu zapytałem go się czy ma kochankę: odpowiedział mi, że tak jest, ale że jest bardzo daleko. Otóż, rzeknę, ten pierścionek jest od mojej największej kochanki, której za powrotem muszę pokazać że go mam, na znak, że o niej pamiętałem. I ta otwartość przekonała go; mówił tylko abym się pospieszył, że mię do bliskiej wioski do swego jenerała odesłać mają. Dobyłem z pularesu w bryczce będącego zaświadczenia moje wojskowe, a nie znając się na prawach rabunku, nie wiedząc że niema czasu ograniczonego, aby go popełnić, rozumiałem że rzeczy moje za mną nadejdą, gdyż oficer był tak delikatny, że mi pozwalał wyjąć z bryczki co chciałem. Prosiłem go tylko aby za mną bryczkę i ludzi odesłał, co przyrzekł i dotrzymał, ale z restrykcyą jezuicką. Oficer ten zwał się Iwan Iwanowicz Popów kapitan z pułku Jełowańskiego XII. Wsiedliśmy na konie z Ossolińskim, dał nam brodacza na konwój i za przewodnika pod nazwiskiem Andreas. W godzinę przybyliśmy do owej wioski, nazwiskiem Wysokie gdzie pełno oficerów kozackich zastaliśmy, którzy honory domu w przyjmowaniu nas czynili. Państwo Czerwińscy, właściciele domu widać że na zjazd tylu gości strwożyli się. Sama zbliżywszy się do mnie ofiarowała nas przez noc przechować, i dać pewnego przewodnika, któryby nas przeprowadził. Podziękowałem za ofiarę, której roztropność niekazała mi przyjmować, raz abym ich na oczywiste nienaraził niebezpie-

czeństwo, i za uczynek miłosierny dom ich na zemstę niewydał, a powtóre awanturnikiem być niechciałem i na niepewny się los puszczać. W tym nadeszła bryczka moja, ale tak wypróżniona, że ani siana do siedzenia niezostawili. Stratę w efektach w niej będących lekko rachować mogę do 3000 dukatów. Zostałem przy jednej koszuli, spodniach dziurawych, zgoła to co na mnie było. Dodać tu muszę, iż przed miesiącem pierwój, gdy codziennie widziałem zabierane powózki, bojąc się aby mnie ten sam los niespotkał, instynktem jakowymś wyjąłem ze szkatułki pieniądze, i dnia wzięcia mego miałem jeszcze w kieszeni 150 dukatów, które przy mnie zostały. Dano obiad, szedłem do niego a dawno ciepłych potraw niejedząc i o szkodzie i o moim stanie zapomniałem i jadłem smacznie. Nadjechał potem generał kozacki Jełowański, człowiek młody, przystojny i bardzo grzeczny, prosiłem go o oddanie mych rzeczy, rozśmiał się mówiąc, że to jest prawo wojny, ale przyrzekł, i przy mnie dał rozkaz, aby dekoracye moje i papiery oddane zostały. Zaszły dwie powózki parokonne, jednemu kamerdynerowi memu pozwolono zostać przy mnie, inni ludzie piechotą transportowanymi byli. Generał pożegnawszy nas oświadczył, iż nas odsyła o mil ośm do generała majora Kutuzowa dowódcy korpusu. A że konia wierzchowego, i bryczkę moją z końmi później odeszłe. W konwoju ze czterech ludzi który nam był dodany, był ten sam Andreas kozak, jeden kałmuk, jeden baszkier i tatar. Otóż w pięknej kompanii znajdujemy się; ale dzicy ci ludzie na pozór, najwięcej ludzkości i wysług nam czynili, i obcowanie z nimi znośniejsze mi było, niż z wielu, którzy upstrzonym umysłem sądzą się być upolerowanemi. Otoczeni tą eskor-

tą, ruszamy. Za ledwie w las wjechaliśmy, kiedy kolumna z kilkuset kozaków złożona pokazała nam się; na czele jej jechali oficerowie, zbliżył się jeden i zatrzymał powózkę moją, a zapytawszy się gdzie więci byliśmy, odezwał się: Avez-vous beaucoup pillé á Moscou?

Qui que Vous soyez, odpowiedziałem mu — Sachez, qu'on n'insulte pas un prisonnier qui est sans défense; et par consequent n'a point d'armes pour vous répondre.

Odjechał nakławszy mi po swojemu, my w dalszą puścili się drogę. Droga korzenna, i noc przymusiły mnie prosić moich przewodników, aby mi gdzie o nocleg się wystarali. Natenczas jeden z pomiędzy nich ruszył galopem naprzód i upatrzwszy chatę w lesie do niej nas zaprowadził. Zbliżyło się dwóch do mojej powózki, kazali mi wysiąść, a wzięwszy mię pod pachy, wprowadzili do izby dymnej. Natychmiast przynieśli słomy na posłanie, przykrywszy się surdudem, a mundur pod głowę zwinawszy, położyłem się. Wtedy okropność losu mego przedstawiła mi się, nie mogąc usnąć, leżałem patrząc na moich stróżów. W pół godziny jeden z pomiędzy nich przyniósł barana, i dobywszy dwóch wielkich nożów zaczął je przy nogach moich ostrzyć. Rozpłatał potem barana i oprawiwszy go, w duży garnek wsadził i do pieca włożył. Zmęczony myślami i strudzony, sen ten to dobroczyńca nieszczęśliwych, zamknął ociężałe powieki moje. W kilka godzin spoczynku czuję się być ciągniętym mocno za rękę, budzę się i poznaję mojego kałmuka, który zawołałszy na mnie głosem stentora: powstań i jedz wieczerzą; podniósł mię z posłania. Zbliżył się w ten moment tatar, i wzięwszy mnie obydwą pod ręce, poprowadzili do stolika na którym donica zupy z baraniny ka-

szą jęczmienną zasypanej stała, a na drugiej misce mięso rozgotowane. Zostałem ławkę dla siebie zasłaną opończą kałmuka, posadził mię na niej, sam koło mnie na drugiej usiadł, po prawej ręce Ossoliński a dalej reszta kompanii. Niechcąc być niegrzecznym, jadłem wszystko, kałmuk mój honory czyniący, rozrywał baraninę palcami i najtłuszcześnie mi kawałki wybierał. Potem poczęstował nas gorzałką, i spać się kazał położyć.

Jeszcze było ciemno na dworze, gdzie niegdzie tylko iskrzące gwiazdy blade rzucały światło, kiedyśmy już w dalszą wyruszyli podróż. Wraz ze dniem stanęliśmy w Babienicach, zaprowadzono nas do domu, i kazano w nim czekać dopóki się generał Kutuzow nieobudzi. Nadeszła bryczka moja; w tém wchodzi plac major, a zapytawszy się czyjaby była: zawołał zaraz na kozaków, aby ją sobie wzięli; dodając, iż jeniec żadnej własności zachować nie może. Mimo rezygnacyi i słabości umysłu, odezwałem się doń: pozwolisz przynajmniej Wpan, abym temi rzeczami rozrządził; bryczkę ofiaruję Andreasowi, a konia wierzchowego Kałmukowi; ci podziękowali i nieczekając na jego aprobacją podzielili się łupem. Wkrótce potem nadszedł adjutant generała, przepraszając, że nas w tak mizernej izbie zatrzymali, z oświadczeniem, iż generał na herbatę prosi. Wchodzimy do pokoju, zastajemy Kutuzowa golącego się, i dwóch generałów francuzkich, jednego Gautzin, a drugiego Corsin siedzących, którzy tego samego dnia, i podobnym wypadkiem jak ja, ale w inném miejscu byli pojmani. Prosił mnie natychmiast siedzieć, i w ciągu dyskursu zapytał się: *Combien des gens ont-ils été auprès de Vous?* — Sept, mon Général. W tém zawoła na swego powiernika: Piotr Ale-

ksiejewicz posłysz: siem czełowieka iz całago połka! — Vous - vous trompez mon Général, ce sont mes domestiques qui ont été pris avec-moi, et si j'aurais été à la tête de mon régiment, je ne serais pas ici.

— Et qu'auriez vous fait?

— J'aurais forcé les vôtres à se retirer, ou j'aurais péri, avec ma troupe.

Dano obiad, na którym widać było przywuszony przepych: ciasta, pasztety, owoce; dając nam się domyślać, że oni obfitują we wszystko, kiedy my od głodu mrzemy. Pod wieczór podano herbatę, później kolacją złożoną z pieczystego, po której w tym samym pokoju gdzie generał, posłano mi na sianie, zasławszy je cienkiem prześcieradłem. Generałowie francuscy w drugim pokoju spali. Nazajutrz podobny sposób życia. Ustawnie prowadzili pod okna po kilkaset niewolnika z maroderów złożonego. Tam dopiero dowiedziałem się, jakim sposobem ich łowiono, będąc przytomny rozkazom, które co moment wydawał generał Kutuzow; wysyłał on oficera ze trzydziestu kozakami, podobnych wypraw kilkanaście na raz było na wszystkie drożyny. To po rosyjsku nazywają partyami. Chłopy i żydzi wychodzili na trakt, i albo obłąkanego wyprowadzali na kozaków, albo im dawali znać o miejscu i liczbie. Tym sposobem 50,000 niewolnika podług ich raportu do dnia mojej bytności ujęto. Poznałem tam generała-majora Benkendorff i generała St.-Priest, emigranta. Pierwszy ulitowawszy się nademną gdym mu stan rozłączenia się naszego przedstawił, radził, abym do pani Nariszkin w Petersburgu mieszkającej pisał, dając słowo honoru, że przeciw Rosyi wojować nie będę, że Ces. Alekander, który tak jest dobrym, może mnie wol-

nością obdarzyć. Abym nie miał sobie nic do wyrzucenia, uczyniłem to, napisał za mną i sam Benkendorff list, kurjer zaraz szedł do Petersburga z raportami o wzięciu nas, zabrał nam listy, czas pokazał, że prośba bezskuteczną została. Co mi najprzykrzej było, to dyskursa polityczne, to nowiny które przy mnie rozsiewali; lecz do niczego się nie mieszając, postanowiłem sobie zawsze milczeć. Spostrzegalem jeszcze, i to zbyt często było powtarzane, co uwagi generałów francuzkich nie uszło, iż ile razy potrzebował mnie generał Kutuzów, zawsze mówił: Monsieur, ub Mr. le comte. Poznałem, że ten przydatek niby z polityki pochodził, aby nieuznawać żołnierza polskiego, nie mogłem wytrzymać i odezwałem się: Permettez-moi mon général de Vous faire une demande: il parait que Vous affectez tant, à na pas m'appeller par mon grade, que je me trouve obligé, à Vous en demander la raison, parceque si Vous ne me reconnaissez pas comme militaire renvoyez moi comme civil; je ne dois pas me trouver chez Vous. Zacerwienił się i rzekł: Eh bien mon Colonel, puisque Vous le voulez, mais c'est la manière de parler dans Votre langue. Vous savez qu'on dit monsieur au frère du roi. Może was dziwić będzie kochane dzieci, że będąc brańcem, tak śmiałych używałem odpowiedzi, tém więcej, że znając mnie, wiecie, iż to nie jest zgodno z moim charakterem: ale to z przekonania robiłem, żądałem więcej delikatności od osób na pierwszym stopniu będących a tém samym lepiej edukowanych; nie chciałem im dać poznać, że nieszczęście może mnie względem nich poniżyć; ale obaczycie mię później pokornym bez upodlenia, znoszącym cierpliwie wybuchy złości, najzjadlejszych wyrzutów, i przekonacie się, że łagodność

uśmierza nawet tygrysią zaciekłość. Nad wieczorem dwaj jenerałowie francuzcy odjechali, mnie jeszcze dzień jeden jenerał Kutuzów zatrzymał, mówiąc, abym sobie lepiej odpoczął. Przymawiałem się o koszulę, mówiąc, że dwa tygodnie mojej nie odmieniałem i przy jednej tylko zostałem, ale udali że nie słyszą. Nazajutrz tj. 21go oświadczył nam jenerał, że po rannym obiedzie wyjedziemy: że nam doda podoficera dobrej konduity, ten nas aż do Soczówki odprowadzi, gdzie sąd ziemiański się znajduje, który nas dalej transportować będzie. Gdy go się spytałem po co do cywilnej magistratury mam być odesłany, nie będąc zbrodniarzem stanu, odpowiedział, że takie ma instrukcye, aby wszystkich Polaków odsyłał; dla zrobienia śledztwa czyli inkwizycyj: że musimy kilkanaście mil z drogi zjechać i nie trzymać się gościńca, którym armia przechodziła, dla tego żebyśmy żywności nie znaleźli, ani domu, na spoczynek nie mieli. Przygotujcie się Wpanowie; rzecze do nas, w odwagę, gdyż nie wszędzie może znajdziecie konie, i piechotą iść trzeba będzie, oraz na kilka dni opatrzyć się w żywność potrzeba. Odpowiedziałem, że co do mnie, będąc niewolnikiem w kraju gdzie nas każdy nienawidzieć musi, nic mię zadziwić niepotrafi i na wszystko jestem przygotowany; ale że mój towarzysz Ossoliński, który ma dziury w nodze, i postąpić nie może, niewiem jakim sposobem wojaż ten odprawi. Zawołał potem podoficera, którego nam przeznaczył, był on z krzyżem i zwał się Tołotoj z Kazańskiego dragońskiego pułku, zalecił mu przy nas, aby jak największe miał staranie i względem noclegów stósował się do woli mojej. Prosiłem jenerała aby nas w żywność opatrzył; dał nam trzy bochenki chleba komiśnego; bo chociaż u

stołu zbytek nawet panował, za pieniądze w tym miasteczku nie dostać nie można było. Zjadłszy śniadanie zaszły dwie powózki; były to po prostu dwa krótkie, i na niskich a równych kołach wózki, jedna tarcica przez środek i trochę grochowin do siedzenia, takie jakimi u nas gnój wywożą. Pożegnawszy się z generałami i podziękowawszy im za grzeczne przyjęcie, wsiadłem do jednej z kamerdynerem, drugą naprzód Ossoliński z podoficerem pojechał. Czas był słotny, śnieg mokry sypał z wiatrem w oczy, ja nawet płaszcz do przykrycia się nie miałem, błoto od kół padało na siedzenie, trzeba się nawet było trzymać, aby niewylecieć. Konie mizerne chłopskie ledwie nas ciągnęły, a czasem pod górę, i w błocie trzeba było dla ulżenia iść piechotą. Nad wieczorem o trzy mile zajeżdżamy do dworu szlacheckiego; wchodzę do izby, zastaję gospodynią około 50 lat mającą, czynię komplement: Jesteśmy brańce wojenni, w imie gościnności prosimy o spoczynek. Mężu, mężu! zawoła pani, to Polacy, biedni. Obróciwszy się do nas: wnijdźcie, nie mamy wiele, bo najprzód przez waszych, a potem resztę kozacy zrabowali, ale co jest, to z wami dzielić będziemy. Wszedł pan s. i a r o ś w i e c k i e g o jeszcze zakonu, ale na twarzy rysy poczciwości i szlachetnego rodu widać było. P a n o w i e, rzekł do nas, chcieliście może dobrze, ale my starzy zapomnieli o dawnych swobodach, a młodzi ich nie znali; wzruszyliście naszą spokojność, a teraz na zemstę nas wystawiacie. Tu znowu żona nie dała mężowi czynić wymówek: przyniesiono kawę wiejską z masłem młodem i chlebem świeżym, po trzy filiżanki wypiliśmy nie mając podobnego przysmaku wyjechawszy z domu. Wkrótce potem zastawiono wazę piwa grzanego ze śmietanką i sé-

rem, którą także z Ossolińskim wypróżniliśmy. Pytał się gospodarz o nasze imiona, a dowiedziawszy się kto jesteśmy: znam rzeczy, te familie, za Sejmu sławnego Konstytucyi pod laską stryja WPana, byłem posłem. Ja jestem Wankowicz; w tym się odezwie żona, a córka moja jest za Wołodkowiczem. Tu znowu o polityce zaczął gospodarz rozumować; ja podjadłszy, chcąc jakożkolwiek gospodarstwu się wywdzięczyć, z mężem o dawnych czasach, a z żoną o całej familii Wołodkiewiczów, Sołtanów, rozmawiałem. Uprzejmość w przyjęciu nas napawała serce moje słodyczą, owa prostota cnotliwego męża, owe zabiegi czułej na nasz los kobiety, wszystko mocno mnie wzruszyło.

Poznawszy się lepiej, oświadczyłem, że brud moje ciało gryzie, że przy jednej zostałem koszuli, którą od dni 18 noszę, Moje dziecko rzeczce Wankowiczowa, koszuli ci dać nie mogę, bo mąż mój tylko przy dwóch pozostał: ale weź tym czasem jedną jego, a ja twoją przez noc uprać każę. Nazajutrz dała nam garnuszek masła, słoniny, kaszy, i chleba pare bochenków. Zawierucha była wielka, pyta mię czem się okryję, a gdym powiedział że mi płaszcz zabrali, pobiegła do męża, i jego oponczą z prostej wełny ofiarowała, mówiąc: lepszój niemamy, ale i ta od słoty zasłoni. O szanowna odzieży, milsza ty jesteś w oczach moich, nad szkarłatem i złotem utkane szaty. Dochowam cię jak drogi upominek cnoty. Ruszyliśmy z téj świątyni staropolskiej cnoty, nasz przewodnik Tołstoj, wszędzie nam chciał po domach dworskich wygodne wynajdywać spoczynki. Trafiło się różnie, przyjmowano nas grzecznie, gdzie indziej trzeba było znosić utyskiwania na klęski wojny, wyrzuty na nasze obchodze-

nie, ale podróż nasza przez dni pięć nie interesującego nie miała. Odwożono nas obywatelskimi końmi od dworu do dworu, już byliśmy w kraju zamieszkanym przez Rosyan, pomiędzy którymi wielu znajdowaliśmy ludzkich i litujących się nad naszym losem: gdy razu jednego noc ciemna, i czas bardzo słotny zatrzymał nas przed jednym dworem, w którym nasz przewodnik Tołstoj, chciał abyśmy nocowali. Wchodzimy do pokoju, zastajemy trzy stare matrony siedzące u stolika, które zaledwie dowiedziały się, że my jeńcy, zaczęły przeraźliwym głosem krzyczeć: a pfe, to francuz, poco ich liberya wpuściła. Rozumiejąc że mniejszy grzech jest być Polakiem, powiedziałem kto jestem; a pfe to Francuz, to wszystko jedno. To są poganie, oni żadnej religii niemają, a mnie ich w dom naprowadzili. Chciałem pomimo fatygi zaraz dalej jechać, ale z końmi powózki nasze odeszły, trzeba było wrócić się i dalszych impertynencyj słuchać. Posłałam po męża który wyjechał, rzecze jedna z pomiędzy nich, on nas od tej załogi potrafi uwolnić. Wchodzi synek 10-letni, ja rozumiejąc że karesując dziecko, ujmę serse matki, pokazuję mu perspektywkę. Dziecko przybiega do mnie, kiedy w tym matka porywa go za rękę, niemiłosiernie daje mu klapsy, mówiąc, nieprzybliżaj się bo to Francuz. Beczy mój chłopiec z bólu, wrzeszcza ze złości baby, ja na to wszystko milczę. W tym wchodzi Pan domu, rozpościerają swe żale kobiety; uspokoję ja to wszystko, rzecze gospodarz, a Jechmoście niech się zaraz z domu wynoszą. Wchodzi podoficer rosyjski, pokazuje ukaz aby nam wszędzie konie dawano; nic to niepomogło.

Ja jestem von Rumberg dawniej major w wojsku pruskim a do mojej wsi żaden generał rozkazów wydawać nie ma

prawa. Jeśli nie ma koni, to ci Ichmość piechotą iść mogą. Zawołałem na podoficera, kazałem mu starać się o konie, wyszedł zaraz mówiąc, że pójdzie do pobliskiej wioski, i wnet z niemi pośpieszy. Wróciłem się do pokoju, i wsparłszy się na stole milczałem. Tu wyrzuty spalenia miast, rabunku Moskwy, na nowo zaczynały się Matuszki przypominały czego jegomość nie wiedział: a cerkwie które za stajnie i kuchnie wam służyły; to znowu z ordynaryjnych słów szkalowanie. — Nic to mię nie poruszało, chciałem doświadczyć dopóki złość trwać może, kiedy jej się nie jątrzy odpowiedziami. Ale ta uwaga nie mogła mi służyć za naukę. Miałem pudła białego bardzo pięknego, który wpadł na to, i przerwał te wykrzykniki: przybliżyła się v. Rumberg do mnie pytając czy mu psa nie przedam? Przypomniała mi się przypowieść Zadiga, a znajdując podobną sytuacją rzekłem: psów nie sprzedają, ale kiedy się ten WPanu podoba niech mu służy.— Um Gotes willen es sind Geffangene; sie sind unschuldig! Żoneczko trzeba im darować. Oni już są w niewoli. Biegnie do gabinetu, przynosi wódkę, i baraninę na zimno, ja znowu wziąłem moją pozyturę dawniejszą, i ani jeść, ani mówić nie chciałem. Powrócił podoficer, nadeszły powózki, my do nich wsiedli, czyniąc postanowienie, aby więcej do pruskich baronów nie wstępować, a noclegi w chatach wiejskich obierać.

Gdyśmy znowu do wsi na noc przyjeżdżali, wszyscy prawie schodzili się do izby dla przypatrywania nam się. Byli czasem i tacy, którzy nas chcieli szkalować, ale gospodarz im nigdy nie dał: oni są pod moją strażą, a będąc w plenie już nie są naszymi nieprzyjaciołmi. Wreszcie i nasz przewodnik rozpędzał tę zgraję, żeśmy byli spokojni,

i dosyć byłoby nam dobrze, gdyby nie chaty dymne, i gorąco w izbie, tak, że przyszedłszy, trzeba było zaraz się kłaść na ziemi, aby być w stanie zaduchę wytrzymać. Kilka dni jechaliśmy spokojni i bez żadnego przy-padku, gdy razu jednego podoficer nasz, chcąc chłopą który nas wiózł przymusić, aby dwie mile jeszcze temi końmi do miasteczka na noc odwiózł, kazał mu jechać, zwoszczyk upierał się, i chciał aby w téj wsi gdzie się zatrzymał, konie przepzęgli; ale że zmiana każda naj-mniej godzinę czasu zabierała, a już zaczęło się zmierz-chać; podoficer nagli, aby jechał, ten niezważając na to wyprzęga konie; podoficer dobywa pałasza, którym go płaćnie, wrywa zwoszczyk pałasz, my stojemy niemie-szając się do żadnej strony: nareszcie wójt wsi każe zwo-szcykowi jechać — ruszamy dalej. Jedzie Tołstoj na-przód jak zwyczajnie; my za nim mając już dwoje sanek, na jednych Osoliński, na drugich ja z kamerdynerem sie-dząc. Zaledwie ujechaliśmy pół mili, kiedy ten zwosz-czyk co był pobity, raptem na bok z gościńca skręciw-szy w całym pędzie do wioski pobliskiej umyka. Krzyczę na podoficera przód jadącego, zatrzymuję i proszę się chłopą, próżno! Stawają nasze dwoje sanek we wsi, zbija się zaraz cała gromada, otacza nas, wyprzęga konie zwo-szczyk i chce odjeżdżać. Proszę się go, proszę się całej wsi, widzę oczywiste nad sobą niebezpieczeństwo; ale bojaźni i nieufności bynajmniej im mojej niepokazuję. Zbli-żają się do mnie chłopcy i szlify oraz krzyże zaczynają oglądać: mówiąc to Francuz: nie, rzekną — to Lach! — Ani Lach; jestem Hiszpan. — Na to słowo usunęli się wszy-scy, a jeden najstarszy z nich zaczął wołać na zwoszcy-ka, aby zaraz z nami jechał; mówiąc, że to są nasi, tylko

przymuszeni. Trzeba bowiem, abyście wiedzieli kochane dzieci, że był ukaz Imperatora, aby jeńców hiszpańskich jak najlepiej traktować, i do ojczyzny wolno odesłać. Tu znowu zwoszczyk bojąc się podoficera, chciał, aby kto inny na miejscu jego jechał, musiałem mu dać słowo, że mu nic nie będzie, co i dotrzymałem. Gdyśmy do podoficera przyjechali, i rzecz całą mu opowiedziałem, spytałem go się co była za myśl jego, gdyby nas był długo niewidział. Byłbym wziął konwój żołnierzy z miasteczka, i byłbym do was się wrócił. Ale to mogło być za późno, gdyby nie moja przezorność nieoddaliła tego niebezpieczeństwa. Chciał on znowu zwoszczyka skępować, i oddać do policyi, ale powiedziałem, że mu zaręczyłem, jako nic złego niedozna, i kazałem mu co tchu z saniami umykać. W kilka dni stanęliśmy szczęśliwie w miasteczku Soczówce, dokąd nas tylko podoficer miał odstawić do horodniczego czyli burmistrza. Zajeżdżamy przed dom jego, podają mu ukaz generała. Trafiło się że ów horodniczy siedzący w izbie swojej magistratury, czyli nie miał ochoty czytania, czyli też nieumiał czytać, szukał jednego między swemi radcami, aby go wyręczył. Gdy się więc dowiedział, że trzeba dać naszemu przewodnikowi zakwitowanie, natychmiast go kazał napisać, a że w ukazie naszym było, aby nas sąd ziemski śledztwa wysłuchał, wstał i rzekł: ja już do was nic niemam, ja o was wiedzieć niechcę. Zostawieni sami sobie, szukamy owego sądu, prosząc aby nas do niego zaprowadzili. Wchodzę do izby gorącej gdyby łaźni, zastaję starego burgrabiego, bo podsądka w mieście niebyło — głuchego i niegadającego. Czyta ukaz, ale niewiedząc co to za inkwizycje robić, kładzie papier na stół, a sam przy

nim drzymie. Zbliża się wieczór, głód przymusza nas prosić o posiłek. Przynoszą nam kawałek słonój pieczonój ryby i chleba, a za napój kwasu. Proszę się, aby nam kwatery dano, zaprowadzili nas przecie do dziaka, który nas po ludzku przyjął. Nazajutrz chodzę znowu do mego burgrabiego, aby z nami koniec zrobili. Nikt się mieszać niechce, ale mówią żeby czekać na przyjazd kapitana. Przybywa nakoniec ta oczekiwana wielka figura, idę ja do domu jego, wychodzi on do przedpokoju, mówiąc, że teraz przyjąć, ani o interesach traktować nie może, bo ma gości. Tłumaczę mu, że tu jest rzecz bardzo krótka, żeby tylko kazał nas odwieźć. Ale kiedy w ukazie rzecz, niema, gdzie was mają transportować. Do Tweru, odpowiedziałem, tam gdzie wszyscy niewolnicy jadą. Niewiem czy moja perswazyja, czy chęć pozbycia się mię prędzój, i wrócenia do kompanii przemogła, ale dał natychmiast rozkaz, aby nas wyprawiono. Tu dodanego mieliśmy zasidatela czyli asesora, i setnika czyli woźnego; zaszło troje sanek i my w dalszą puścili się drogę.

Na noclegach wszędzie chłopcy z pałkami straż koło domu, i w izbie gdzieśmy spali, trzymali. Ale nie mogę narzekać, wszędzie mieliśmy wygodę. Zwoszczyki tutaj co trzy mile się zmieniają, ale tak prędko lecą, że milę w kwadransie robią. Co tylko koń może wyskoczyć lecą, biciem i krzykiem do pośpiechu go przynaglając. Nieprzyzwyczajonego do takiej jazdy strach z początku bierze, nieraz sobie wspomniałem Krajewskiego, ale drogi robione są tak równe, że żadnego niebezpieczeństwa nie masz. Gdzie zaś zdarzy się z góry, tam przed końmi szedł zwoszczyk, i one pomału sprowadzał. Nic w prze-

jeździe naszym przez 5 dni niezaszło godném wspomnienia, aż w Starzycach, gdzie młodego i bardzo grzecznego zastałem kapitana sprawnika nazwiskiem Moronzow. Poczęstowawszy nas herbatą i wódką; zostawiam brata mego słabego do bawienia p. Ossolińskiego, a WPan obracając się do mnie, chciej ze mną jechać w sąsiedztwo do jednego pana, abyś miał jakąkolwiek dystrakcją. Wymawiałem mu się to moją garderobą, to stanem który bardziej osobności potrzebuje. Nie można było bez niegrzeczności upierać się; ogarnąłem się jak mogłem, i wsiałem z nim do sanek. W pół godziny stanęliśmy przed pięknym pałacem. Gospodarz wyszedł naprzeciw nas do sali, gdzie już stół był zastawiony i wprowadził do pokoju bawialnego, w którym mię prezentował najprzód matce swój staruszce, siostrze, sam zaś zwał się Świczyn kapitan gwardyi imperatorskiej, ranny pod Mozajskiem, o kulach jeszcze chodził. Młody, i twarz jego wiele szlachetności mająca. Synek 10-letni, kapelmajster Polak, i guwerner emigrant Francuz składali całą naszą kompanią. Obiad smaczny, konwersacya przyjemna, wszystko okazywało wychowanie i ton wielkiego świata. Nad wieczorem otworzył się salon, i dała się słyszeć orkiestra. Zaczęto grać ouwerturę z Kalifa z Bagdadu. Muzyka ta przypominając mi czasy szczęśliwsze, tak mocną sensacją zrobiła, że łzy samowolnie oblały mi twarz; spostrzegł to gospodarz kazał przestać grać, a wzięwszy mię na stronę, pytał mnie się w sposobie najdelikatniejszym, czy może mi być użytecznym, pożyczyć mi co na moje potrzeby. Z czułością podziękowałem, odpowiedziałem, że pieniędzy niepotrzebuję: ale że bielizny trochę z wdzięcznością przyjmę. W momencie cały dom w po-

ruszeniu: gospodarz daje mi koszulę i pończochy, kapelmajster dwie chustki i czapkę. Panienska zdejmuje swoje rękawiczki, mówiąc: prenez les, Vos mains gélerons, et je vous plains beaucoup, car Votre Voyage sera bien long — Oú devons nous donc aller Mlle? Je ne saurai Vous nommer l'endroit mais je sais que c'est au moins á quatre mille Verstes. W tym matka przysunęła się dając mi placek z rozenkami, dodając że to znak gościnności. Scena ta prawdziwie była ulgą cierpienia mego. Są momenta gdzie nieszczęśliwy, kosztuje słodyczy których znać niemoże człowiek w pomyślności zostający. Pożegnawszy się z tą szanowną familią, milę jeszcze dnia tego na noc ujechałem. Nazajutrz byłem adresowany do jednego pana rosyjskiego, a że to było na trakcie, wstąpiłem, gdzie mię po ludzku i z otwartością przyjął. Był to staruszek mający dwóch synów; chwalił się przedemną, że trzymał guwernera, który przez kilka lat ich uczył po francusku. Zawołał ich, i kazał ze mną mówić. Lecz co było moje za podziwienie, gdy żadnego słowa ich zrozumieć nie mogłem. Było to zapewne coś podobnego jak owa przypowieść du Bas-breton. Rozmawiali ze sobą z wielką szybkością nic na moje pytanie nieodpowiadając. Gdy ojciec żądał, abym mu dał opinią względem ich niedoskonałości, niechcąc go z błędu wyprowadzić, który robił szczęście jego, powiedziałem, że trzeba, aby dzieci jego więcej wprawy miały, którą nabędą na wielkim świecie. Mieliśmy jeszcze mil 12 do Tweru, które w przeciągu 6 godzin niespełna zrobiliśmy. Stawamy u kapitana sprawnika, człowieka miłosiernego, grzecznego ale bojaźliwego, przyjmuje on nas do domu swego, ofiaruje wszystkie wygody, ale oświadcza, że nazajutrz z transportem

niewolników w dalszą pojedziemy drogę. Wystawiam stan Ossolińskiego, że ma nogę nieopatrzoną, że może kaleką zostać, proszę o doktora, powiadają że niema żadnego. Było ich czterech, ale później dowiedziałem się, że tylko dla słabości niebezpiecznej pozwalano się zostać, a oni chcąc się nas jak najprędzej pozbyć, powiedzieli, że tylko jeden jest lekarz i który nie może przyjść bo sam chory. Przychodzi mi myśl przyjąć obowiązki gubernera na czas, jaki będę w niewoli. Dowiedziawszy się, że gubernator miał trzech synów i potrzebował człowieka do nauki, proszę kapitana sprawnika aby pojechał oświadczyć, że będę dawał lekcyę języka francuskiego, pisania, czytania, historyi, i że żadnej pensyi niepotrzebuję, byłem miał stancyą i żywność. Przyjmuje propozycyą kapitan sprawnik, czyni mi nadzieję, że w mocy gubernatora jest mię zatrzymać i że będzie kontent z takięj akwizycyi. Wsiada sam do sanek, ja plany edukacyi układam. Lecz moment ukontentowania mego był za krótki. Powraca kapitan sprawnik, wyczytuję z twarzy jego smutny niepomysłny skutek, nakoniec powiada mi, że jako więźnia przyjmować niemoże. Że dla tych tylko jest excepcya, którzy przysięgę wierności wykonawszy, zostają w tym kraju. Oddać sprawiedliwość muszę litości kapitana sprawnika, że robił co mógł aby nas zatrzymać, ale otaczający tak byli barbarzyńcy, że sobie igraszkę z naszego położenia robili. Oznajmijają nam żebyśmy się gotowali do podróży, przynoszą ubiór który jest dla więźniów przeznaczony, to jest: kozuch barani, buty z prostego rzemienia, rękawice wełniane, pończoch para z grubej wełny, pas włóczkowy i koszula gruba, jak dla złoczyńców eo na śmierć prowadzą. Przynoszą na siedm dni miedzią

lenung: to jest mnie po półtora rubla na dzień, adjutantowi Ossolińskiemu po 50 kopijek a służącemu po 18. Półtora rubla zdaje się że czyni 10 złp., ale że papiery w tym kraju nawet tracą: więc realnie na dzień dla pułkownika jest wyznaczone półtrzecia złp. dla podoficera subalterna 25 groszy, a dla służącego 9 groszy. Widok ten ubioru, płacy, a nadewszystko myśl oddalenia się od żony, i was kochane dzieci, tak ścisnęły serce moje, że łyzy jedne przytomność mi wróciły. Widziałem wzruszonego kapitana sprawnika, sam się rozpłakał, mówiąc: nic dla was uczynić nie mogę, ale jego koledzy zaczęli wołać: nasi u nich są gorzej traktowani, my niepalili Moskwy, niech siadają i jadą. Złość mię taka porwała i rozpacz, że w milczeniu porwałem te ich ubiory oznaczające niewolę i zacząłem się w nie oblekać. Trzeba jeszcze dodać, że podobne ubiory w ordynaryjniejszém jeszcze gatunku były przeznaczone dla służących i żołnierzy. Cel tego kosztu na jeńców, jest chlubnym dowodem ludzkości ces. Aleksandra, znając i zimność klimatu, i dalekie strony w które pędzono niewolników, chciał przynajmniej i w odzież ich opatrzyć. Ale wykonywacze rozkazów jak pospolicie bywa, cnotę w zbrodnią zamienić umieją. Robiono handel, z tego co było dobrym uczynkiem, zdejmowano ludziom buty, a zamiast tych łyczane trzewiki dawano, zamiast surdutów lub płaszczów które miał, kładziono półkożuszki baranie i tym podobnie.

Już byłem gotów wsiadać, kiedy kamerdyner mój widząc mię w największém pomięszaniu, odważył się prosić kapitana sprawnika, abyśmy jutro dopiero rano jechali, przedstawiając, że już noc, i że musi coś prowizyi do żywności kupić. — Słyszałem tylko głos niechętnych wo-

łających, że podwoły na próżno sprowadzone były, że ich trzeba odesłać; nic niewiem co się dalej stało, tylko znalazłem się na kanapie i przy mnie siedzącego kapitana sprawnika, który mnie ściskając mówił: jutro dopiero pojedziecie, a teraz napijcie się herbaty. Osoliński i kamerdyner byli przez ten czas pojechali do oberży, dla kupienia żywności na drogę. Później nadszedł kamerdyner, a Osoliński został był w salonie, który jak wszędzie bywa napełniony jest ludźmi. Namawiał mię kapitan sprawnik i mój służący, abym dla rozerwania się także pojechał. Ale ja co nie lubię nikomu się udzielać, zwłaszcza w smutku samotność przenosząc, odmówiłem, prosząc, aby mi moment spokojności dali. Wyjechał wieczorem sprawnik, mnie przyszła myśl jeszcze użyć ostatniego sposobu napisania do Wielkiej księżny, prosząc, aby nas dalej nietransportowali. Pani ta słynąc z miłosierdzia i dobrych uczynków, które świadczy wszystkim nieszczęśliwym, nieodrzuci zapewne prośby mojej. Korzystałem z momentu samotności, abym niebył spostrzeżony od nikogo; biorę pióro, wystawiam jej jak dobrej matce obraz żony nieszczęśliwej, dzieci osieroconych; mą czułością staram się wzruszyć jej serce. Daję list mój kamerdynerowi, z rozkazem, aby samęj księżnie w ręce starał go się oddać. Ale jak pospolicie bywa, kto lubi świadczyć, do tego przystęp trudny. Warta niepuściła mego człeka, powrócił, i odniósł mi list, ostatnią nadzieję moją. Kiedy już cały rozpaczy i żalowi się oddałem, przysłała Osoliński z oberży, prosząc, abym zaraz przychodził, że jest jakiś znajomy, który się widzieć ze mną pragnie. Wsadzają mię pomimowolnie prawie w sanki mój służący, wprowadzają mię do pokoju, gdzie zastaję pułkownika Merli-

niego, który się wita ze mną, pułkownika Welijaschew rosyjskiego i kilku oficerów. Siadam na stołku niebędąc w stanie do nikogo przemówić słowa; mówią mi, że posłali po doktora, dla opatrzenia mego kamrata nogi. Przybywa chirurg, a obaczywszy ranę i dziurę w palcu Osolińskiego, nie tylko oświadcza, że jest niebezpieczna i grozi gangreną, ale, że palec trzeba uciąć. Wtedy wzruszeni położeniem naszym, że bez litości odmawiając nam opatrzenia przez doktora, chciano się nas tylko jak najprędzej pozbyć, aby pomnożyć liczbę tych co umierają po drodze; pótłownik Welijaschew przynagla Merliniego, aby w tym momencie księciu d'Oldenburg rzecz zameldował; kwadrans niewyszło czasu, przybywa adjutant księcia, pułkownik Bartholomé, nie tylko z pozwoleniem żebyśmy zostali, ale wyznaczając najwygodniejszą stancję w oberży. Z tych przemian ustawicznych sensacyi, wreszcie po trudach odmiana wygodniejszego życia, pomimo mocnej i wytrzymałej konstytucyi, przymusiły mię położyć się w łóżko. Miałem gorączkę przez trzy dni; w nogach, które mi zaczęły puchnąć, zrobiły się wrzody i dziury, ale za staraniem doktora Schnabla, przychodzę do siebie. Życie nasze skromne, i potrzeby ograniczone. Stancya z opałem i światłem rubli 40 na miesiąc, obiad z pięciu potraw złożony na dwóch 3 ruble na miesiąc, herbata rano i w wieczór na dwóch 1 rubel na miesiąc. Na miesiąc więc koszt obudwóch wynosi 120 rubli, czyli redukując na naszą monetę rubel jeden po groszy 50, czyni złp. 200. Więc każdy z nas sto złotych ekspensował. Urządzony tym sposobem nasze wydatki, dni nasze równie regularnie przepędzamy. O ósmiej godzinie budzimy się, o dziewiątej pijemy herbatę z bułką po dwie filiżanki —

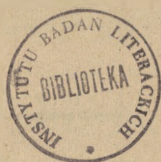
o jedenastej kieliszek wódki, o drugiej obiad, o szóstej podobnie herbata, o siódmej gramy w wiska we dwóch— od 9tej do 10 chodzę po pokoju i palę lulkę, o 10tej kładziemy się spać. Ale nierozumiejcie, żebym zaraz usypiał. Mam sąsiada o ścianę oficera rosyjskiego, który, byłem się tylko położył w łóżko, zaczyna grać na skrzypcach, często buzi się w nocy i znowu z melodyjami swemi daje się słyszeć— tak dalece, że sen, ta ostatnia pociecha nieszczęśliwych, odjęta mi jest. Towarzysz zaś mój Osoliński, dobry co do natury chłopiec, taki jest flegmatyk, że ani radości ani smutku powód żadnej na nim impresyi nierobią; dnie przepędzając razem, ledwie usłyszę go mówiącego, kiedy ma dwa honory, lub kiedy partya jest wygraną. Służący mój znowu uparty i zuchwały, żadnej mi ulgi przez swoje usługi nieprzynosi. Ten jest stan mój, w którym się znajduję. Nielubiący wychodzić ani znajomości robić, cały dzień w pokoju przepędzam u siebie, niemogąc nawet książki dostać. Szczegóły które tu przytaczam, mogą być uważane za drobnotki nieinteresujące w oczach obojętnego, ale, że to ja piszę dla dzieci moich, więc niechcę opuścić, coby im niemogło służyć za naukę: że człowiek na sobie samym przestać musi; że edukacya, którą odebrali jest dostateczna, aby znaleźli materyały, które ich zatrudnić i rozerwać nawet potrafią, gdy sami sobie zostawieni będą, i że przez tę nabywając stałości umysłu, najokropniejsze ciosy niestałej fortuny, chociaż czuli, znieść cierpliwie i wytrzymać potrafią.— Dnie moje będąc sobie podobne, nie mam już wam co dodać“.

Tutaj kończy się pamiętnik kampanii rosyjskiej. — Po dwóch latach wraca Małachowski do kraju, w chwili u-

tworzenia Królestwa kongresowego — a wzięwszy dymisyę w stopniu jenerała, mianowany zostaje senatorem kasztelanem. — Późniejsze jego zapiski niezawierają szczegółów domowego życia, ale tylko wzmianki o wypadkach publicznych — i krótkie — bolesne wspomnienie, z powodu straty dwóch znakomitych synów: Juliusza i Gustawa...

Długi ten — piękny żywot zamknął się jego zgonem przypadłym w r. 1849.





alic. 78/55r.

I-3633

I

3633